

Wfoczege

organ

ksu bu wfoczgow

w

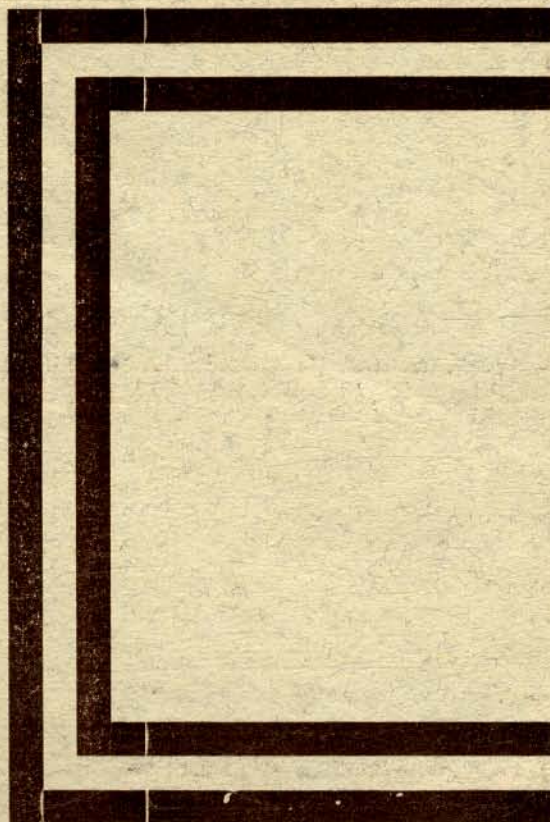
Wisnie

Nr 5

J. Kruszyński

KOMITET REDAKCYJNY:

Józef Batorowicz
Aleksander Chmielewski
Stanisław Hermanowicz
Jan Kruszyński
Marjan Kulesza
Kazimierz Leczycki
Teodor Nagurski
Henryk Niewodniczański
Stan. Odlanicki-Poczobut
Wacław Pac-Pomarnacki
Tadeusz Rymkiewicz
Eugenjusz Skorko
Czesław Słuchocki
Stanisław Świaniewicz
Witold Sylwanowicz
Stanisław Symonowicz
Seweryn Wysłouch
Henryk Zabielski
Kazimierz Zwierko



Spis rzeczy:

W związku z odejściem wojewody wileńskiego p. Z. Beczkowicza na placówkę Ryską—*T. Nagurski*. Izolacja gospodarcza Ziemi Wschodnich i walka z nią — *Bolesław Wścieklica*. Niebieski kwiatek—czerwoną płachtą — *Inż. Czesław Słuchocki*. O autorytet władz szkolnych — *Dr. Seweryn Wysłouch*. Uwagi o wychowaniu młodzieży—*Stefan Nowicki*. Erenburg, yo-yo i tradycje Europy — *Dr. Władysław Arcimowicz*. Ministerjalna baba — *Kazimierz Leczycki*. Inicjatywa: Armja Pracy powstała już na Śląsku. Kiedy powstanie w Wilnie? O twórczą rolę dla policji! Jak zmniejszyć bezrobocie wśród inteligencji? Kiereńszczyzna podatkowa. Dzieci uliczne. **Włóczęga po mieście:** „Głos ludu“, Wystawa Szyka, Gobeliny, „Przeciw prądowi“, Kwiatki św. Biurokracego, Towarzystwo-Sportowy Klub Prawników. **AKADEMICKI KLUB WŁÓCZĘGÓW WILEŃSKICH:** Zaniedbany sport, Medyczna szopka, Bal Włóczęgów, Niewolnicy, Poszukujemy..., Zrzuć kalosze — przypnij narty! Wigilja w Mensie.

WŁÓCZĘGA Nr 5

Organ Klubu Włóczęgów w Wilnie

LUTY 1933

CENA 50 GR.

T. NAGURSKI.

W związku z odejściem wojewody wileńskiego p. Z. Beczkowicza na placówkę Ryską

Wywiad z p. Wojewodą Beczkowiczem

Wojewoda Wileński Zygmunt Beczkowicz, który przed półtora rokiem przybył do Wilna na opuszczone obecnie stanowisko, nie jest człowiekiem obcym naszym ziemiom. Będąc w ciągu szeregu lat wojewodą Nowogródzkim, poznał dokładnie znaczną część kraju, zamieszkiwanego przez ludność pod względem narodowościowym mieszaną; poznał część najbardziej pod względem gospodarczym zacofanej dzielnicy Polski. W wojewodzie dokonała się pewna charakterystyczna zmiana, zachodząca czasami (niestety, dość rzadko) u ludzi, przybyszających do nas z innych dzielnic Rzeczypospolitej, a starających się sumiennie i bezstronnie zbadać życie ludności ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Oto wślad za rzeczowem ustosunkowaniem się do problemów naszego życia — obudziło się zainteresowanie nim, sympatja — ba, entuzjazm, do tych biednych wsi i miasteczek, do ludności tak bardzo różnolitej językowo, przeważnie ubogiej, cichej, zahukanej, a jednak posiadającej testament historyczny w swej wielkości mający mało sobie równych: ponadnarodowościową koncepcję państwa Jagiellonów.

Zarzucono przecież byłemu wojewodzie Nowogródzkiemu dążności do wskrzeszenia, umarłych zdawałoby się, świetnych tradycji Nowogródka. Nie dla własnej wygody p. Beczkowicz siedział lata całe w „Nowogródzkiej dziurze”, podnosząc ten stary ośrodek, by tem skuteczniej — Wilno historyczna stolica tych ziem mogło na nie oddziaływać. Wojewoda Nowogródzki usiłował z województwa najbardziej wiejskiego w całej Polsce wydobyć drzemiące w niem wartości. Być może dlatego spotkał p. Wojewodę awans Wileński, dlatego też zapewne były wojewoda Nowogródzki i Wileński został przez Marszałka Piłsudskiego wyznaczony na posła Rzeczypospolitej do Rygi. Któż lepiej może znać najbardziej żywotne potrzeby dwóch naszych województw, od człowieka, który poświęcił im lata wyteżonej, codziennej pracy.

Z tem przeświadczeniem wchodzę do gabinetu p. Wojewody celem uzyskania wywiadu w związku z pracami, dokonanymi przez ustępującego wojewodę Wileńskiego i pracami zamierzonymi przez rozpoczynającego swe czynności posła Polski w Rydze. Pierwsze pytanie jakie zadaję dotyczy przeszłości:

Jaka jest pańska, panie Wojewodo, koncepcja pracy w Wilnie?

„Przybyłem do Wilna”, rozpoczyna p. wojewoda „Beczkowicz „przed półtora rokiem. Przybyłem tu z „przekonaniem, że Wilno jest miastem więcej niż wojewódzkim, miastem, do którego ciąży gospodarczo „i kulturalnie również tereny znajdujące się poza granicą jednego województwa. Pierwsze moje kroki „poświęciłem dokładnemu zbadaniu potrzeb Wilna

„i Wileńszczyzny. Zdając sobie sprawę z ważkości „zagadnień Wileńskich, może stosunkowo dużo czasu „poświęciłem pracom badawczym, co spowodowało, że „zamało później znalazło się czasu na realizację planów, wzięwszy szczególnie pod uwagę moje względnie „krótkie tu urzędowanie.

Jakież zagadnienia uznał Pan Wojewoda za najistotniejsze?

„Przystępując planowo do pracy, musiałem oczywiście „cie zagadnień zacząć od podstawowych. Za takie uznaję „problem gospodarczy i narodowościowy. Podkreślam, że „momenty gospodarcze uznaję za najważniejsze w dobie „obecnej, szczególnie w odniesieniu do najliczniejszej „warstwy naszej ludności: rolników. Z tego też powodu „dużo uwagi poświęciłem kwestji lniarskiej „na przykład. Z tego również powodu pracowałem „w kierunku stworzenia u nas instytucji samorządu rolniczego — Izby Rolniczej, która by skonsolidowała pracę „istniejących organizacji rolniczych Wil.-Nowogródz. „I jedna i druga sprawa wymaga oczywiście jeszcze „dużego nakładu pracy. Bodaj najważniejszym problemem jest zapewnienie zbytu produktów rolniczych „wogóle, zaś produktów lniarskich w szczególności. „Jak dotychczas udało się uporządkować dziedzinę „dostaw dla wojska.

Jak się przedstawia sprawa samorządu gospodarczego?

„Zreby przyszłej wileńsko - nowogródzkiej izby „rolniczej zostały już położone. W niedługim czasie „instytucja ta powstanie. Łącznie z wileńską izbą „przemysłowo-handlową, oraz izbą rzemieślniczą, będzie „ta izba stanowiła reprezentację interesów gospodarczych tych ziem. Uważam za niezbędne stworzenie „pewnej nadbudowy samorządowo-gospodarczej, w postaci stałej konferencji wymienionych instytucji. W ten „sposób uzyskałoby się koncentrację wysiłków i stworzyłoby się wspólny program działania. Uważam, że „celem polityki gospodarczej byłoby uwzględnienie „możliwości gospodarczych ziem wschodnich w ogólnej „gospodarczej polityce państwa. Ziemi te, wbrew „dość rozpowszechnionemu przekonaniu, mają wszystkie „szanse dla stania się gospodarczo czynną częścią Rzeczypospolitej.

A jak się przedstawiają problemy narodowościowe?

„O tej dziedzinie będę mógł powiedzieć jeszcze mniej, prosto dlatego, że prace w dziedzinie zagadnień narodowościowych wymagały znacznie dłuższego czasu niż ten okres, w ciągu którego tu pracowałem. W pracy mej zdążyłem dotknąć się tylko zrzębów naszej polityki narodowościowej. Za zadanie moje uważałem też prace podstawowe: unikanie „waśni narodowościowych i zwalczanie wszelkich nacjonalizmów, zaczynając od rodzimego polskiego, a kończąc na nacjonalizmach krzewiących się u naszych różnorodnych obywateli.

Przechodzę teraz do spraw przyszłej pracy pana Wojewody.

Jak pan Wojewoda ocenia swe zadania na placówce ryskiej?

„Zadaje Pan mi pytanie nieco kłopotliwe. Trudno przed przybyciem na teren Łotwy i przed rozpoczęciem prac na tamtym, nader ważnym dla nas terenie coś powiedzieć o szerszych planach pracy. Natomiast plan wstępny — jest nader prosty. Usiłuję

„dokładnie poznać życie naszego północnego sąsiada. Powiem Panu, że poświęcam już obecnie dużo czasu „studjom nad przeszłością i teraźniejszością Republiki Łotewskiej. Uważam to za swój pierwszy obowiązek.

Czy Pan Wojewoda podziela stanowisko naszego pisma, że województwa północno-wschodnie Polski za swój naturalny wylot na morze winny uważać Lipawę?

„W tej kwestji odpowiedzi Panu obecnie jeszcze „udzielić nie mogę. Muszę dokładniej zbadać ten bardzo ważny problem. Natomiast nie ulega dla mnie „wątpliwości, że ożywienie wymiany handlowej między Polską a Łotwą winno obchodzić i obchodzi w rzeczywistości w 1-ej linii nasze województwo północno-wschodnie.

Ciśnie się mi na usta jeszcze szereg pytań na temat zagadnień bałtyckich, jednakże wobec zasadniczego stanowiska p. Wojewody, że o sprawach związanych z przyszłą pracą będzie mógł mówić dopiero po jej rozpoczęciu poprzestaję na już otrzymanym materiale. Opuszczam gabinet p. Wojewody, uprzejmie dziękując za udzielony wywiad.

BOLESŁAW WŚCIEKLICA

Izolacja gospodarcza Ziem Wschodnich i walka z nią

Kryzys ekonomiczny stanowi w swej istocie osłabienie wszelkiej działalności gospodarczej, między innymi wymiany towarowej. To jest oczywiste. Natomiast mniej oczywiste, a warte zbadania, jest inne zjawisko: wymiana towarowa zacieśnia się do stosunkowo wąskiego terytorjum. Państwa, poszczególne ośrodki gospodarcze (dzielnice, mniejsze jednostki terytorjalne, miasta i wsie), wreszcie pojedyncze gospodarstwa ulegają pewnej izolacji ekonomicznej. Międzynarodowa wymiana towarowa słabnie dziś nie tylko dlatego, że państwa otaczają się absurdalnymi murami celnymi, ale i dlatego, że zmniejszenie zapotrzebowania na pewne towary odbywa się przede wszystkim na niekorzyść zagranicy (o ile naturalnie dane przedmioty są wytwarzane w kraju, co powoduje, że między towarem krajowym a zagranicznym istnieje współzawodnictwo); tańszy zazwyczaj produkt krajowy wypiera zagraniczny, obciążony znacznymi kosztami przewozu.

Podobnież w każdym poszczególnym kraju dzielnice, które na pokrycie swych potrzeb zmuszone były sprowadzać znaczne ilości towaru z innych części kraju, pokrywają dziś swe zmniejszone zapotrzebowanie przede wszystkim wytworami miejscowymi (o ile dana dzielnica je produkuje), nadwyżka zaś, którą muszą sprowadzić z zewnątrz, silnie spada. Czynnikiem, który ogranicza międzydzielnicową wymianę towarową, jest koszt przewozu. W okresie kryzysu jest on tembardziej dotkliwy, że ceny towarów spadają, taryfy zaś towarowe, w szczególności w tych krajach, gdzie stanowią one dział gospodarki państwowej, z natury rzeczy stosunkowo sztywnej — nie mogą za nimi podążyć, obciążenie więc wartości towaru kosztami przewozu wzrasta. Przewozy kolejowe spadają, nierównomiernie jednak: największej redukcji doznają przewozy na dalsze odległości, a więc z peryferji i do peryferji państwa; ponadto ograniczenie przewozów (czyli transakcyj na większą odległość) dotyka szczególnie silnie towary, wybitnie obciążone kosztami transportu. Są to z reguły towary tanie, — o znacznej wadze w stosunku do swej ceny.

Izolacja gospodarcza Ziem Północno Wschodnich Rzeczypospolitej została wzmocniona przez to, że wytwarzają one i wywożą do innych części państwa właśnie towary tanie, a mianowicie surowce przemysłowe, jak drewno len i skóry, ziemiopłody i wytwory hodowli, wyroby przemysłu drzewnego, jakoteż, nieco droższe od nich, wytwory przemysłu garbarskiego i papierniczego (tektura). Ale przecież właśnie drewno, len i wytwory rolnicze doznają największego spadku cen, podczas gdy skartelizowane surowce i półfabrykaty, produkowane na Śląsku, utrzymały się na ogół na poziomie z okresu największej pomyślności, zaś wytwory przemysłu byłej Kongresówki i Poznańskiego wprawdzie spadły w cenę, jednakże stosunkowo słabiej niż wytwory rolnictwa i nieskartelizowane surowce przemysłowe. Wzamian za mniejszą ilość towarów

T O W A R	Ośrodek produkcji	% spadku cen od IX. 1929 r. do IX. 1932 r.	Cena w złotych we wrześniu 1932 roku	Jednostka miary
Kłody sosn.	Wilno	69 ⁰ / ₀	14.—	100 kg.
"	Białowieża	66 ⁰ / ₀	15.50	"
"	Poznań	62 ⁰ / ₀	20.20	"
"	Warszawa	64 ⁰ / ₀	21.—	"
Żyto	Wilno	46 ⁰ / ₀	13.47	"
"	Poznań	38 ⁰ / ₀	14.95	"
"	Warszawa	33 ⁰ / ₀	14.74	"
Wieprz (żywej wagi)	Wilno	69 ⁰ / ₀	72.—	"
"	Poznań	67 ⁰ / ₀	87.—	"
"	Warszawa	58 ⁰ / ₀	88.—	"
Jaja	Wilno	56 ⁰ / ₀	0.64	10 szt.
"	Poznań	49 ⁰ / ₀	0.91	"
"	Warszawa	51 ⁰ / ₀	0.98	"

Uwaga. Ceny żyta, wieprza i jaj są to ceny miejscowe płacone producentom według danych Głównego Urzędu Statystycznego. Ceny drewna — loco stacja załadowania według danych Administracji Lasów Państwowych. Ceny loco las spadły silniej i były znacznie niższe.

sprzedawanych po znacznie niższej cenie, mogą więc Ziemię Wschodnią nabywać w innych dzielnicach niezwykle silnie zmniejszoną ilość stosunkowo drogich ich wytworów. Tak dokonywała się izolacja gospodarcza wschodu Rzeczypospolitej.

Mówiliśmy o ruchu cen poszczególnych towarów, przeciwstawiając węgiel i żelazo śląskie drewnu i łowi wileńskiemu. Ale ani ceny jednego towaru w całym państwie nie są jednolite, ani ich spadek w czasie kryzysu nie był równomierny. Porównując ruch cen kilku towarów, charakterystycznych dla Ziemi Wileńskiej w ciągu trzech lat między wrześniem 1929 r. *) a wrześniem 1932 r. otrzymamy obraz następujący: (zobacz tabelkę na str. 2).

Na taki obraz rozwoju stosunków nie wolno patrzeć obojętnie. Jeśli porównanie cen w pewnej określonej chwili wypada na niekorzyść Wilna, to jest to związane z nierównomiernym poziomem dobrobytu w różnych dzielnicach Rzeczypospolitej. Tej nierównomierności strzegą znaczne koszty przewozu towarów koleją, które w okresie kryzysu zyskują na znaczeniu, stając się więzami trudnymi do zniesienia. *Bogatsze ośrodki państwa konsumują wówczas bardzo niewielkie ilości wytworów przywożonych z jego peryferii, w których ponadto spadek cen jest szczególnie gwałtowny, peryferie otrzymują wzamian ilości jeszcze bardziej zredukowane.*

Jak na to zaradzić? Najważniejszym środkiem złagodzenia upośledzenia gospodarczego Ziemi Wschodniej w okresie kryzysu jest przebudowa taryf kolejowych. Obowiązująca obecnie taryfa towarowa, wprowadzona 1 października 1929 r., podzieliła towary, przewożone na kolejach na szereg klas w zależności od ich cen w kilkumiesięcznym okresie, poprzedzającym reformę taryf, przyczem opłaty za przewóz zostały ustalone w ścisłej zależności od owej klasyfikacji wartościowej towarów. Towary tańsze, (o cenie niższej w stosunku jednostki wagi) zostały obciążone kosztami przewozu stosunkowo silniej niż droższe artykuły, bo kolej nie może pobierać za przewóz mniej niż wynoszą jej koszty własne i w zasadzie przynajmniej musi osiągać pewien zysk. Ponadto cechą naszej taryfy jest silna regresja w opłatach za przewóz na dalsze odległości. Taryfa polska daje dalszym odległościom znacznie większe ulgi niż jakiekolwiek znane mi taryfy europejskie. Konstrukcja jej jest podyktowana warunkami ekonomicznymi rozległego kraju o słabo rozwiniętych drogach wodnych i bitych i o organizmie gospodarczym, zrośniętym z trzech części, rozwijających się odrębnie przez stulecie z górą, wobec czego odległości ośrodków produkcji od terenów spożycia, od portów i stacyj granicznych są częstokroć niewspółmierne do innych krajów duże.

Pomimo wielkiej pracy i wiedzy, jaką włożyli w konstrukcję taryfy towarowej jej twórcy, wkrótce po jej wprowadzeniu wyszły na jaw jej słabe strony. Zasadniczą jej wadą jest to, że nie uwzględniła ona *dynamiki cen*,—klasyfikując towary według ich zdolności do ponoszenia kosztów transportu, nie rozróżniła bowiem towarów o większej amplitudzie wahań cen od towarów o cenie sztywnej, w szczególności pod wpływem kartelizacji. Rok 1929 był jeszcze okresem stosunkowo wysokich cen. Od tej chwili ceny towarów przeszły całą rewolucję. Niektóre z nich, nieliczne co prawda, (np. ceny kwasu węglowego i siarkowego, naczyń emaljowanych) podniosły się, ceny cementu utrzymywały się w ciągu ostatniego trzylecia na niezmiennym

poziomie, ceny węgla spadły zaledwie o 5 proc., żelaza o 10 proc., natomiast ceny żyta o 35 proc., pszenicy o 36 proc., zwierząt rzeźnych o 59 proc., kłód sosnowych o 64 proc., świerkowych o 72 proc. i t. d. *Obciążenie cen kosztami przewozu* wzrosło dla wyrobów rolniczych oraz dla surowców i dla wyrobów nieskartelizowanych bardzo silnie. Nie jest ono jednak mimo to równomierne dla wszystkich tych towarów. Jeśli obciążenie ceny zboża kosztami przewozu na bardzo znacznych nawet odległościach nie przekracza czwartej części ceny towaru, (największe dla żyta wynosiło w roku 1931/32 na odległości 700 km. 22 proc.) to dla drewna okrągłego wynosi ono w niektórych wypadkach ponad 100 proc. W tych warunkach przewozy niektórych towarów na większą odległość musiały zupełnie zamarzeć.

Taryfa towarowa wymaga zatem koniecznie przebudowy, jeśli niema się ona stać czynnikiem zaostrzania się kryzysu, w szczególności w dzielnicach odległych od wielkich ośrodków spożycia do których należą Śląsk, województwa zachodnie i duże miasta województw centralnych. Nie mogąc z braku miejsca rozwinąć w szczegółach tego zagadnienia, narysujemy tylko zasadnicze wytyczne tej niezbędnej reformy*). Wynikają one jasno z dotychczasowych rozważań, dając się sprowadzić do następujących zasad:

1) Zastosowanie ulg taryfowych oraz ich rozmiary w stosunku do poszczególnych towarów zależeć winne od *ruchu cen* jaki miał miejsce od września 1929 r., t. j. od chwili przeprowadzenia ostatniej reformy taryf. Pierwszym i zasadniczym tytułem do zniżki taryf jest spadek cen danego towaru.

2) Zastosowanie ulg oraz ich wysokość zależeć muszą od *obciążenia towaru kosztami przewozu*. Jeśli koszty przewozu stanowią nikły odsetek ceny towaru, to nawet przy znacznym spadku cen obniżenie odpowiednich taryf nie może być uznane za naglące.

3) Ulgi winne w szerokiej mierze uwzględniać wzrost obciążenia ceny towaru kosztami przewozu *na dalszych odległościach*, na których winne być zastosowane z reguły—większe obniżki.

4) Zastosowanie ulg i ich wysokość winna być uzależniona od tego, czy *obniżenie ceny danego towaru dla jego konsumenta* (do tego sprowadza się bowiem obniżka taryf) przyczyni się do wzrostu zapotrzebowania na ten towar.

Zastosowanie ulgi winno zatem zależeć od *elastyczności popytu* na dany towar. Pod tym kątem widzenia byłyby wskazane w pierwszym rzędzie ulgi w *eksportie* na rynkach zagranicznych wytwór polski konkuruje bowiem z wielką masą wyrobów obcych, każda więc obniżka ceny, po której towar jest zaofiarowany stwarza podstawy do zwiększenia zbytu, częstokroć bardzo znacznego. Rozpatrując warunki kształtowania się popytu na *rynku krajowym*, należy brać pod uwagę stopień elastyczności popytu dla każdego towaru z osobna. Rozporządzalne wyniki badań naukowych pozwalają sądzić, że obniżka taryf kolejowych (a więc obniżka ceny, jaką płaci spożywca) zwiększy popyt na poszczególne towary produkowane przez Ziemię Północno-Wschodnią w następującej przybliżonej kolejności: drewno budowlane, papierówka, len, skóry surowe i wyprawione, wytwory hodowli i ziemiopłody. A zatem na pierwszym miejscu materiały budowlane (popyt stosunkowo bardzo dostępny), dalej surowce

*) Okres ten wybieramy dlatego, że w dniu 1 października 1929 r. została przeprowadzona reforma taryf kolejowych.

*) Program reformy taryf rozwijał niżej podpisany szczegółowo na łamach „Rynku Drzewnego”, jako organu sfer najsilniej zainteresowanych w obniżce taryf kolejowych (Nr Nr 7, 30, 31, 32, 33, 94/95 z r. ub.) oraz w miesięczniku „Droga” Nr 12 z r. ub.

i półfabrykaty przemysłowe, wreszcie środki żywności, na które zapotrzebowanie jest z natury rzeczy stosunkowo sztywne.

Rozważania na temat konieczności reformy taryf, jej najważniejszych zasad i jej znaczenia dla Ziemi Wschodnich możnaby snuć jeszcze bardzo długo. Poprzestaniemy tu na sformułowaniu najbardziej zasadniczych tez. Sprawa jest dziś aktualna. W opinii publicznej nastąpił w ciągu ostatniego roku pewien zwrot. Obok znacznych ulg w taryfach eksportowych, poczynionych głównie wiosną roku bieżącego, opracowywany jest projekt zniżki opłat za przewóz szeregu towarów wewnątrz kraju. Głusi zatem usłyszeli, milczący przemówili. Nie wydaje się nam jednak, aby prace podjęte obecnie przez Ministerstwo Komunikacji były oparte na konsekwentnym *programie ekonomicznym*, aby składały się one na pewien *jednolity system*. Są raczej echem oderwanych postulatów poszczególnych zainteresowanych grup producentów. Chodzi tu jednak

o zagadnienie gospodarcze olbrzymiej wagi, od przebudowy taryf kolejowych zależy bowiem w pewnej mierze złagodzenie kryzysu gospodarczego. Najsilniej sprawa ta musi obchodzić Ziemię Wschodnią z Wilnem na czele. Sztywność systemu taryfowego uderza w nie bowiem z największą siłą.

Już po napisaniu niniejszego artykułu Ministerstwo Komunikacji wprowadziło szereg ulg taryfowych. Ulgi te jednak oprócz zniżek w taryfach eksportowych, dawniej już stosunkowo hojnie udzielanych, oraz obniżki niektórych taryf wewnętrznych na *małe odległości* w celu odebrania części przekazów autobusom, obejmują taryfy na bardzo nieliczne towary, których wybór nie został oparty na kryteriach ekonomiki transportu. Wśród tych dowolnie wybranych towarów największe ulgi otrzymały surowce dla przemysłu żelaznego. Bogaty przemysł żelazny będzie więc taniej otrzymywał surowiec, ale spożywca żelaza nic na tem nie zyska, bo kartel żelazny dowolnie wyznacza ceny. Ta swoista „reforma” taryf mało ma oczywiście wspólnego z nakreślonymi tu pokrótce wytycznymi polityki taryfowej.

INŻ. CZESŁAW SŁUCHOCKI.

Niebieski Kwiatek -- czerwoną płachtą

Północno-wschodni region Polski, zbliżony pod względem fizjograficznym do sąsiednich rejonów Litwy, Łotwy, Estonii i Rosji tworzy łącznie z niemi t. zw. rejon lniarski północno-wschodniej Europy. Zbliżone warunki klimatyczne i glebowe umożliwiają produkowanie włókna lnianego, gatunkowo b. zbliżonego w całym wyżej wymienionym pasie. Moment ten stał się ważkim, gdy granice polityczne pocięły jednolity mniej więcej rejon na szereg kompleksów gospodarczych i gdy Rosja sowiecka, Polska, Łotwa i Litwa zaczęły z sobą konkurować na rynkach zachodnio-europejskich.

Niedoceniane w Polsce lniarstwo znalazło się w położeniu groźnym, niemal katastrofalnym, gdy nie wytrzymało konkurencji Rosji i Łotwy, a rynek własny zapotrzebowania nie zgłaszał, nie był bowiem przekonany o konieczności popierania produkcji surowców krajowych.

Dla ziem północno-wschodnich katastrofa ta stała się tem groźniejsza, że tu jest ośrodek lniarstwa polskiego i gros gospodarstw rolnych w takich powiatach jak Dziśnieński, Brasławski, Mołodeczański, Postawski, Wołżyński, Lidzki — dochód czerpało z lnu, jako jedynej rośliny przemysłowej, którą w tych stronach uprawiać można. Jak ważną pozycję dochodową stanowił len, przytoczę dane z orientacyjnego bilansu powiatu Dziśnieńskiego *) za okres 4 lat (1926—1929). Wywieziono produktów rolniczych na sumę zł. 13.546.656. w czym lnu za sumę zł. 8.502.141, co stanowi 64%. Tyle w wybitnie lniarskim powiecie, w którym powierzchnia zajęta pod len wynosi 6% ziemi ornej, W innych powiatach, bardziej lniarskich, ten sam stosunek się utrzyma, t. zn. przy 1% ziemi ornej zajętej pod len, wywóz lnu z powiatu stanowiłby b. blisko w przybliżeniu około 10% ogólnego wywozu rolniczego. Ten uproszczony stosunek porównawczy obrazuje nam znaczenie lnu, jako rośliny dającej rolnikowi dopływ gotówkowy. Innych bowiem płodów rolnych wywieziemy niedużo, a przy słabym urodzaju ziemie północno-wschodnie Polski mają niedobór.

Przywóz np. zbóż do Wileńszczyzny nie będzie

symptodem słabego gospodarczo rolnictwa, jeżeli wywieziemy w tym samym czasie lnu na taką samą sumę. Zamiana taka będzie gospodarczo dla Wileńszczyzny korzystna, gdyż pod postacią włókna lnianego wywieziemy więcej pracy, aniżeli tej pracy przywozimy w postaci zboża. Len bowiem jest rośliną wybitnie pracochłonną. Uprawa 1 ha żyta do chwili otrzymania gotowego produktu wymaga 45 dni pracy, zaś uprawa 1 ha lnu do chwili otrzymania włókna trzpanego 130 dni pracy. Nie potrzebuję udowadniać, jak ważnem jest znalezienie dla przeludnionej wsi, możliwości intensywnego wyzyskania pracy.

Przy dalszej przeróbce przez rolnika włókna na tkaniny lniane, ma on dalszą możliwość sprzedaży swojej pracy w ilości znacznie większej: na wycieszenie, sprzedanie i wytkanie włókna z 1 ha zużywa się 700 dni pracy. Oznaczałoby to zajęcie dla przeciętnej rodziny rolnika przez cały okres zimy.

Czy dążenie w tym kierunku jest słusznem i czy istnieją ku temu warunki, ewentualnie czy mogą być wytworzone? By na to pytanie odpowiedzieć, trzeba poznać obecne położenie lniarstwa i przemysłu lniarskiego w Polsce. Wywóz lnu zagranicę w r. 1931 w porównaniu do r. 1928 spadł o 60%, produkcja o 25%, spożycie krajowe również się zmniejszyło. Zapasy włókna się gromadziły, a ceny nie gwarantowały opłacalności produkcji. Przypuszczano tedy atak na rynek krajowy włókienniczy, na którym panowała istotnie sytuacja paradoksalna. Sprowadzane są do Polski surowce włókiennicze, które w dość znacznej części mogą być zastąpione przez len; ba! przywożono jeszcze przez cały rok 1931 do Polski włókno lniane w gatunkach nie lepszych od włókna polskiego. W rezultacie udało się przełamać opór przemysłu bawełnianego i jutowego i dzisiaj rynek krajowy zdradza coraz większą tendencję do zwiększenia spożycia włókna lnianego. Przywóz lnu został prawie całkowicie zahamowany. Trudność nowa powstała w tem, że polski przemysł lniarski liczy zaledwie 20 tys. wrzecion mechanicznych, i zdolny jest przerobić ± 20% produkcji krajowej. Odrzucając 45% na własne potrzeby rolnika i około 15—20% na eksport (bo na takie ilości t. j. 6—8 tys. tonn znajdujemy zbyt zagranicę) resztę włókna pozostaje do przerobu sposobem cha-

*) Zaczepnięte z pracy agronoma B. Łapyra, długoletniego instruktora rolniczego w Głębokiem.

łupniczym. Przemysł ten liczy w Polsce około 1,200.000 wrzecion ręcznych i około połowy tej ilości krosien; a że wyzyskanie jego możliwości produkcyjnych stało się koniecznością, rozpoczęto przeto na szerszą skalę organizować zbyt wyrobów lnianych samodzielnych Akcja skupu płótna samodzielnego, prowadzona przez Bazy Przemysłu Ludowego dała wyniki zadawalniające.

Jeżeli na akcję tę patrzeć będziemy w perspektywie lat kilku i na tle panującego kryzysu, to dla ziem północno-wschodnich Polski przyniesie ona bezwątpienia duże korzyści gospodarcze. Przedewszystkiem rolnik pod formą płótna sprzedaje swoją pracę. Wartość tej pracy wynosi 40% ceny płótna, (resztę stanowi surowiec) pracy sprzedawanej w okresie zimy i w dowolnym czasie dnia, bez uszczerbku dla prac w gospodarstwie. Przy sprzedaży płótna sprzedaje surowiec, którego inną drogą na rynku ulokować nie może. W konsekwencji przyczynia się do utrzymania możliwych cen na włókno.

W dalszym rozwoju tej akcji, gdy nabierze ona charakteru akcji trwałej, etapem byłby sposób, praktykowany w okolicach osiedlania się przemysłu przedalniczego, — dostarczania tkaczkom wiejskim przędzy do tkania. Np. w okolicach Łodzi istnieje zawodowe tkactwo ręczne, nie zagrożone wcale istnieniem wielkiego przemysłu łódzkiego. Jaką formę przybierze przemysł ludowy tkanin użytkowych na Wileńszczyźnie trudno dziś orzec. Jedno wielkie i stale aktualne pytanie postawić tu można: czy znajdziemy dość zmysłu organizacyjnego, by rozrzuconą po tysiącach wsi wielką fabrykę przedalniczo - tkacką, uda się nastawić w kierunku pożądanym i czy fabryka ta, gdy nadejdzie lepsza konjunktura, nie rozejdzie się po pieleszach domowych — za „pieczku“ od wysłużonego kołowrotka?

* * *

Przemysł łódzki i nie łódzki znalazł się dzisiaj wobec nieznanego mu konkurenta i niestety musi się z nim liczyć, bo ten pracuje tanio i nie liczy się z groźbami kapitału zagranicznego,

* * *

Dążeniem lnarstwa polskiego jest zastąpić całkowicie używaną w kraju jutę sizalją i manillę i w przybliżeniu $\frac{1}{3}$ część bawełny wyrobami z lnu i konopi. Ten maksymalny program wymagałby zwiększenia trzykrotnego powierzchni zasiewu lnu i konopi i rozbudowy fabrycznego przemysłu lnarskiego, częściowo kosztem przystosowania fabryk jutowych i bawełnianych do surowca

lnianego i konopnego. Dla przemysłu oznacza to zmniejszenie wpływu kapitału zagranicznego i nawiązanie stosunków z ubogim w kapitały rynkiem krajowym. Rzecz prosta używa on wszelkich środków, by lnarstwo w Polsce nie dopuścić do rozwoju.

I jego to wpływom przypisywać należy sposób, w jaki została skonstruowana ustawa, akurat rok temu wydana, o cłach przywozowych na surowce włókiennicze. Nie mówiąc o wysokości stawek celnych (n. b. bardzo niskich), każda pozycja jest zaopatrzona w uwagę — „za zezwoleniem Ministerstwa Skarbu — b.c.“ co ma oznaczać bez cła. Po co wydawać ustawy, na co zda się praca przygotowawcza organizacji rolniczych, żeby referent Ministerstwa Skarbu miał możliwość otwierania narożnic bezcłowej furtki. A otwierać musi, bo kapitał zagraniczny ma w Polsce wpływ nieograniczony.

Niepotrzebnie notowalibyśmy wypadki bezcłowego przywozu nie tylko bawełny i juty ale nawet lnu, bo zło leży w samym założeniu. Dopóki pozostawione będą wolne furtki na dowolne interpretowanie możliwości ich otwierania, dopóty lnarz w Polsce nie będzie miał trwałej kalkulacji do rozwoju swej produkcji.

Nie można się dziwić, a nawet trzeba uważać za objaw naturalny, gdy akcja lnarska, znajdująca w Polsce coraz więcej uznania, spotyka się z mocnym sprzeciwem przemysłu bawełnianego i jutowego, spotyka się z atakami generalnymi i walkami podjazdowymi. Ale dziwić się należy, gdy sfery rolnicze, na szczęście nie tu w Wilnie, ale w wyjąłowanej z twórczej myśli Warszawie nie mogą się jeszcze pogodzić z wypłynięciem nowej sprawy, której trzeba bronić, a która tylko powiększa liczbę wcale nie małą różnych bolączek. I gdyby jeszcze zachód albo centrum Polski tę bolączkę odczuwały i wysunęły. A tu akurat dalekie „kresy“ krzyczeć zaczynają o swój własny len. Jak od natrętnej muchy chciałyby centralne organizacje od lnu się otrząsnąć. I poprostu się wierzyć nie chce, aby z ust czołowego działacza w rolnictwie polskim na centralnym zjeździe „Tygodnia Rolniczego“ w Warszawie padło zdanie, że przecież my . . . o rumianku postulatów uchylać nie będziemy. Odnosi się wrażenie, że w nawale różnorodnych bolączek nastąpiło pomieszanie ich wagi i zalecanie recept końskich dla komara i odwrotnie. Smutniejsze bowiem byłoby przypuszczenie, że znając wagę lnarstwa nie tylko dla Wileńszczyzny, ale dla całej Polski, pominięto ją tendencyjnie. Wilno potrafi obronić lnarstwo, jako żywotną sprawę gospodarki państwowej, ale nie dziwnym jest, że przemysł gra pierwsze skrzypce, gdy rolnictwo nie może odróżnić plew od ziarna.

DR. SEWERYN WYSŁOUCH

O autorytet władz szkolnych

W dziedzinie szkolnictwa ostatni rok upłynął pod znakiem doniosłych reform ustawodawczych. Nowa ustawa o organizacji szkolnictwa średniego w znacznej mierze przerzuciła ciężar wykształcenia i wychowania na szkolnictwo powszechne. W związku z tem spadają na nie nowe obowiązki o wybitnie doniosłym

znaczeniu. Dzisiejsze szkolnictwo powszechne należy to uznać jeszcze nie dorosło do roli, którą mu przyznały czynniki ustawodawcze. Stąd też lata najbliższe muszą upływać pod hasłem „podciągnięcia się“ szkoły powszechnej do wyższego poziomu. Nie jest to zadanie łatwe. Różne czynniki natury technicznej i ma-

terjalnej stoją tu na przeszkodzie. Pod tym względem rzecz nie ulega wątpliwości. Są jednak i inne czynniki natury hamującej. Jest to poziom naukowy i wychowawczy ciała nauczającego. W tej dziedzinie mimo gospodarczego kryzysu można zrobić bardzo wiele. Wysiłki władz szkolnych winne pójść po linii przygotowywania i dostosowywania kadr nauczycielstwa powszechnego do roli przewidzianej mu mocą ustawy o organizacji nauczania w Polsce. Zgodny wysiłek nauczycielstwa i władz szkolnych to pierwszy warunek postępu w tej dziedzinie. Jakież wdzięczne pole działalności dla organizacji nauczycielskich w pierwszym rzędzie Związku N. P. Jednak nasuwają się tu smutne refleksje. Piękne i wzniosłe tradycje Z. N. P. z okresu niewoli i pierwszych lat niepodległości Polski jakże często są dziś poniewierane i deptane przez działalność niepowołanych ludzi. W głębokim przeświadczeniu, że akcja Z. N. P. na naszym kresowym terenie odbiega zasadniczo od panujących powszechnie w tej zasłużonej organizacji chlubnych tradycji, chcielibyśmy zwrócić na to uwagę czynników powołanych, któreby się mogły przyczynić do sanacji tutejszych niezdrowych stosunków ułatwiając przez to samo ogromnie pracę nad podniesieniem poziomu naukowego i wychowawczego ciała nauczycielskiego.

Jak powszechnie mówią, Związkiem N. P. rządzą u nas absolutnie prezes posługujący się kliką wiernych i oddanych mu ludzi. Podobno każdy z członków tej kliki ma coś do zawdzięczenia potężnemu prezesowi, posłowi i sekretarzowi B. B. W. R. w Wilnie w jednej osobie. Ktoś tam został przeniesiony z prowincji do Wilna, ktoś został kierownikiem, ktoś inny dostał posadę, a wszystko dzięki interwencji i zabiegom prezesa. Należenie do kliky jest podobno doskonałym puklerzem przeciw niezadawalającym ocenom pracy — no i otwiera drogę do wpływów, znaczenia i stosunków. Jakoś tak nieszczerliwie się składa, iż w tem najbliższem kole wybrańców rzadko się bardzo słyszy o jednostkach wysoce wartościowych w ich pracy zawodowej. Te stoją najczęściej zdala od steru rządów i wpływów, lub stanowią opozycję. Opozycja próbuje walczyć, lecz zawsze bez skutku. Na czele opozycji stawali dotychczas dziwnym trafem ludzie wybitnie wyróżniający się w swej pracy zawodowej. Słyszeliśmy o znanym powszechnie ze swej rozległej wiedzy i wielkich zdolności pedagogicznych, społecznych i organizacyjnych kierowniku szkoły specjalnej, cieszącym się wielkim autorytetem wśród nauczycielstwa, słyszeliśmy o wybitnym pracowniku na niwie oświaty pozaszkolnej, ogromnie popularnym wśród szerokich sfer nauczycielskich. Jednego z nich unieszkodliwiono na różne demagogiczne sposoby wewnątrz organizacji, drugi przedstawiciel opozycji dziwnym i nieszczerliwym zbiegiem okoliczności pojechał z Wilna na prowincję na niższe stanowisko. W związku z tem wszystkim rośnie autorytet prezesa, wiara weń jego zwolenników i strach przeciwników. Złe języki szepczą poufnie, że pan prezes miał nieraz znaczny wpływ na obsadzanie lub opróżnianie stanowisk inspektorów szkolnych, a nawet

i wyższych urzędników administracji szkolnej. Sam fakt istnienia takich gadek wytwarza atmosferę lęku i zależności, bo wszak utrata posady w dzisiejszych czasach to klęska dla każdego. A pod potężnym protektorem prezesa i posła czują się bezpiecznie ci wszyscy co z nim trzymają. Szeroko rozgałęzione stosunki, odpowiednie naświetlanie spraw, specjalne zdolności w urabianiu opinii i czynieniu potrzebnych zabiegów, wysoki autorytet posła i sekretarza grupy regionalnej B. B. W. R., wielki kredyt i zasłużone zaufanie, jakim cieszą się powszechnie reprezentowane przez niego organizacje — wszystko to wieńczy powodzeniem każde poczynanie, jeżeli czasem nie na miejscu i nie na niższych stopniach hierarchii szkolnej i administracyjnej, to gdzieś tam wysoko w centrali, u ludzi coraz dalej od sprawy stojących, co tem łatwiej osiągnąć się daje i czemu się nawet wcale nie można dziwić. Dzięki temu słychać np. że choć cała opinia pewnego miasteczka jest wzburzona przeciw jednemu z protegowanych, nie można zrobić, by go przenieść choćby na lepsze stanowisko, byle w inne miejsce. Słyszymy że w innym miasteczku inny osobnik pod opieką możnego protektora podburza nauczycielstwo przeciw miejscowemu staroście. Słyszymy, iż podobno zjazdy nauczycielskie odbywają się pod hasłem walki z władzami szkolnymi i podrywają wszelki ich autorytet. O działalności i wpływach p. prezesa mówią wszyscy, ale mówią pocichu, mówią z lękiem i trwogą.

Uważamy za swój obywatelski obowiązek powiedzieć o tem głośno i otwarcie. Sam fakt istnienia tych wszystkich pogłosek i tej opinii choćby w rzeczywistości były one tylko w części prawdziwe, deprawuje nauczycielstwo, podrywa autorytet władz, kompromituje obóz przerwany oraz niszczy zaufanie do zasługujących na nie organizacji. Uważamy za swój obowiązek domagać się sanacji tych stosunków. Wysoki poziom ideowy i oddanie się sprawie szły nauczycielstwa wileńskiego szkół powszechnych jest powszechnie znane. Gdyby do głosu w Z. N. P. mógł dojść ten najlepszy i najszlachetniejszy jego element stosunek między władzami szkolnymi a nauczycielstwem ułożyłby się na zasadzie twórczej współpracy i współodpowiedzialności za losy szkoły i Państwa. Chodzi o ratowanie etycznego poziomu nauczycielstwa, poziomu jego pracy zawodowej zwłaszcza wobec zadań jakie stoją przed szkołą powszechną, chodzi o ratowanie poderwanego dziś autorytetu władz szkolnych. Chodzi wreszcie o ratowanie autorytetu obozu przerwany i B. B. W. R. w szerokich warstwach społeczeństwa wileńskiego, przepojonego tak głęboko sympatią do osoby Wielkiego Wilnianina Marszałka Piłsudskiego wobec rozdzwieku jaki zachodzi między szczytnymi hasłami, a konkretną rzeczywistością.

P. S. Panowie z „Odsieczy Wileńskiej“, może mamy we „Włóczędce“ założyć specjalną rubrykę p. t. „Z działalności p. posła Dobosza“. A może zechce p. naczelny redaktor spytać o niektóre szczegóły swego braciszka w Święcianach?

Uwagi o wychowywaniu młodzieży

Ostatnie rozruchy antyżydowskie, będące dalszym pasmem zaburzeń z ub. roku, zmuszają do szukania głębszych przyczyn tego zjawiska. Nie chodzi tu już o stosunek młodzieży do żydów, lecz wogóle do zagadnień mniejszościowych.

Zrzuca się zwykle odpowiedzialność za rozruchy na władze uniwersyteckie. Nie odpowiada to jednak zgoła rzeczywistości; tembardziej, że—jak stwierdzono dobitnie—przedewszystkiem młodzież pierwszego roku, a nie starsze roczniki, wiodła prym w rozruchach. Młodzież więc ta nie miała czasu ani sama przejąć się duchem uniwersyteckim, ani też—jeżeli wogóle to jest możliwe—uniwersytet nie zdołał jej wychować. Jeśli wogóle miałyby się winić uniwersytety, to nie dlatego, że nie wychowały młodzieży, lecz li tylko z tych przyczyn, że jasno i wyraźnie nie zadeklarowały swego stanowiska. Grona profesorskie—oprócz nielicznych wyjątków—nie zareagowały bodaj jakąś odezwą potępiającą w myśl podstawowych uczuć humanitarnych, wszelkie bicie.

Nie winię tu tylko jednej strony; część winy leży bezwzględnie i po drugiej stronie, która również nie potępiła zdecydowanie argumentów pałkarskich. Przyjmowała stale stanowisko obrończe, choć była—co się nie da zaprzeczyć—i stroną agresywną.

Lecz wróćmy do tematu. Kto jest winnym tych rozruchów? Kto wychował młodzież bijącą, umiejacą jedynie pałką przekonywać? Kto przyczynił się do tego, że młodzież na uniwersytecie nie szuka lub nie zakłada związków silnych ideowo, lecz gromadnie spieszy pod sztandary kija i pałek? Odpowiedź kryje się już w stwierdzeniu faktu, kto brał udział w tych biatykach. Oto młodzież pierwszego roku, która dopiero niedawno opuściła ławy szkolne. Pomijam tu celowo nader silne czynniki psychologiczne, jak moment wyzwolenia się z pod wszelkiej opieki, kontroli, to oszłomienie wolnością i uwolnienie się od swego rodzaju „strachu” przed władzą. Młodzież ta „władzy” teraz się nie boi. Za bramą uniwersytecką schowana potrafi w obliczu przedstawiciela władzy, stojącego z drugiej strony ogrodzenia, wykrzykiwać pod jego adresem obelżywe okrzyki, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. Podczas manifestacji, urządzanych bez zezwolenia władz, policja obchodzi się z nią, jak z kimś lepszym od zwykłego śmiertelnika. Można przecież było oglądać podczas rozruchów w ub. roku jak nasze studentki starały się ściągnąć z konia policjantów, zatrzymujących niedozwolony pochód. Ci zaś obchodzili się z nimi...bardzo a bardzo delikatnie. Robotnik, który nie ma ukończonej ani szkoły średniej, ani nawet szkoły powszechnej, analfabeta, za takie zachowanie się i okrzyki wobec władz dostalby parę lat więzienia. Studentowi zaś tymczasem uchodzi najczęściej bezkarnie, a w najlepszym wypadku otrzyma on jakąś naganę lub napomnienie. Bezkarność taka oczywiście rozzuchwala. Młodzież nie zastanawia się ani na chwilę nad swoimi postępami. Nie rozumie, że bijąc, rujnuje, a nie buduje. A celem jej przecież teraz powinno być budowanie.

Nie rozumie, że argumentując pałką niszczy

wszelką harmonję między sobą, a tym drugim z mniejszości współobywatelom; do współżycia zaś z nim i działania wspólnego może i powinna teraz przystąpić. Nie wytłumaczono jej tego, nie nauczono. I tutaj cały ciężar winy automatycznie przenosi się na szkoły przed—uniwersyteckie, a przedewszystkiem na zakłady średnie, na nauczycielstwo je reprezentujące. Operuje się łatwo zarzutem, że nauczycielstwo „zendeczone” nie może inaczej wychować. Nic bardziej fałszywego nad ten zarzut. Gdyby nauczycielstwo było choć „zendeczone” to przedstawiałoby przynajmniej pewną wartość ideową—a to może byłoby lepsze niż brak zupełny jakiegokolwiek idei. Bo trzeba stwierdzić, że nasze nauczycielstwo nie posiada (mówią tu oczywiście o masie, a nie o poszczególnych wyjątkach) jakiegokolwiek silnego kręgosłupa ideowego. Przybite ponadto swą ciężką pracą, wielką ilością godzin obowiązkowych i nadobowiązkowych, warunkami materialnymi, rodzinami—nie może się zdobyć na szkołę „twórczą, radosną”. Zniechęcone, zmanierowane powodzą powojenną najróżnorodniejszych kierunków wychowawczych, wypieranych jeden przez drugi, straciło ostatecznie drogowskaz swej pracy. Odrabia jeno, robotę szkolną jako kawałek urzędowy. (Trzeba jednak przyznać, że pracuje sumiennie, uczciwie, pełne poświęcenia). A jeśli dodamy, że nie wszyscy są nauczycielami—z powołania, że raczej pracują dla kawałka chleba i na każdym innym stanowisku takby pracowali, to tembardziej jasnym stanie się dla nas wyraz, a raczej brak jego, ideowy. Dobite nadto niezrozumieniem „wychowania, obywatelsko—państwowego” ostatecznie straciło wiarę w siebie. Nie wie ono co to znaczy. Jedni bowiem to interpretują przez wywieszenie w ciągu jednej nocy w każdej klasie portretów, inni doradzają, mniej lub więcej dyskretnie, zapisywanie się do stronnictwa lub do pewnej organizacji, a żaden prawie nie chce zrozumieć jasnych wskazań w tej dziedzinie Ministerstwa W. R. i O. P.*) Biorą szatę zewnętrzną zamiast jej głębokiej treści wewnętrznej.

Stroi się więc w te szaty, robi według rozkazu, nie rozumiejąc i bez przekonania—niby wykonuje w myśl wskazań Min. W. R. i O. P.*) Przybite, skryte, nie wypowiadając się, nie mające do siebie wzajemnego zaufania—ma ono wychować silnego ideowo przyszłego obywatela. Młodzież szybko wyczuwa, że to co wszędzie robi się, to robi się bez przekonania, zapisuje się nawet do organizacji polecanych—sama przybiera tę pozę—następuje wzajemne zakłamanie się. Zaczarowane koło zda się bez wyjścia. O jakimkolwiek „rzędzie dusz” niema mowy. Nauczyciel staje się w końcu bezradnym. Pragnie on jednak odrobić swoją robotę. Czuje, że powinien coś młodzieży powiedzieć o zagadnieniach mniejszościowych. Szuka pomocy w materiale szkolnym. Materiał ten jednak nauczania—program szkolny—nie udzieli mu pomocy w zagadnieniach współżycia współobywateli. (Wprawdzie najlepszy pro-

*) N. p. cały szereg artykułów w piśmie *Zręb i Oświata i Wychowanie*.

*) Ostatnie jednak czasy przyniosły na naszym przynajmniej terenie wielką poprawę tych stosunków.

gram nie pomoże, jeśli nauczyciel zły — z dwojga złego lepszy gorszy program, a nauczyciel dobry). Czy może np. Trylogia nadaje się do tego? Nauka o Polsce współczesnej uczy raczej, jaki jest np. 0/0 mniejszości w państwie. Potrafi uczeń dokładnie wszystkie mniejszości wymienić, a nie zna jednak pewnością dobrze terenu sobie najbliższego. Nie uczy się jego, tak jak nie nauczyło się jego poszanowania dla pracy prostego posterunkowego, żyć w zgodzie z tą mniejszością. Uczy się go, w najlepszym wypadku, jak mniejszości mają się zachować wobec państwa polskiego, ale nie nauczy się jego, jak ma się ustosunkować państwo polskie wobec mniejszości, jak on, gdy sam dorośnie i będzie na stanowisku, ma się do niej odnosić. Wyrasta więc w młodzieży poczucie pewnej wyższości swej narodowości, a lekceważenia dla pozostałych. Szkoła tu nic nie robi; dom rodzicielski nie porusza również tych tematów, będąc raczej negatywnie do mniejszości ustosunkowanym.

Nie wyda się więc teraz dziwnym ten niski stan ideowy naszej młodzieży**). Jednostki i to nieliczne tylko tu się wybijają. To wybicie się jednostek, a nie jakiegoś silnego ruchu ideowego, jest niestety smutnym stwierdzeniem braku głębszej ideowości wśród naszej młodzieży nie rozumiejącej ciężących na niej obowiąz-

ków. I, gdy opuszcza ta młodzież szkołę, to przytłumiona w niej chwilowo energia, nie skierowana na odpowiednią tory, gdy spotka hasło „bij żyda” idzie za nim. Sprawia na niej wrażenie wielkiej siły. Kto bije, ten niby jest silny. Poszłaby pewnie za każdym podobnym hasłem: Bij Niemca czy kogokolwiek — bo nie rozumiem, dlaczego, poco, naco, w jakim celu bije. Biję — powtarzam — bo to niby oznaka siły. Zapytana o wyjaśnienia, o wytłumaczenie dlaczego bije, nie potrafi dać żadnej ścisłej odpowiedzi, prócz szeregu ogólników, z których jeden zbija drugi. Nie przemyślała nawet dlaczego bije — jeśli poszła już na tę drogę udowadniania słuszności swojego stanowiska.

Czy są na to środki zaradcze. Są — bo, gdyby ich nie było, straciłoby się wiarę w przyszłość Polski widząc takie tak płytko myślące, bez jakiegokolwiek silnej idei pokolenie.

Musi ono jednak otrzymać inny pion ideowy swego wychowania przez inaczej nastawionych wychowawców, musi otrzymać z istoty rzeczy, a nie z formy wychowanie obywatelsko-państwowe.

Jakiem zaś ono ma być, postaram się naszkicować w jednym z najbliższych numerów naszego pisma***).

Jesteśmy daleko od terenów zamieszkałych przez ludność ukraińską. Ale są pewne sprawy, które obserwowane z Wilna przedstawiają się wyraźniej, niż wówczas, gdy na nie patrzymy z jakiegoś innego punktu w Państwie Polskim. Może dlatego, że miasto nasze przeszłością swoją zrosnięte jest z największymi koncepcjami wschodniej polityki Rzeczypospolitej. To też wiadomość o straceniu Daniłyszyna i Biłasa, która doszła do nas w dniu wigilijnym stała się cieniem naruszającym spokój i radość dni świątecznych.

Jako ludzie z pokolenia, których wychowywała wojna i rewolucja, jesteśmy dalecy od sentymentalizmu. Uważamy, że ten, kto w osiągnięciu swoich celów innych na śmierć naraża, musi być sam gotów każdej chwili śmierć przyjąć. Surowy w swojej sprawiedliwości wyrok sądu jest dla nas zupełnie zrozumiały. Nie wyobrażamy nawet, żeby on mógł być inny.

A jednak... Obok względów realizowania wymiaru sprawiedliwości istnieje jeszcze względ inny, względ na rację stanu Rzeczypospolitej, istnieje marzenie o odrodzeniu dziesięcioletniej współpracy między ludami, które zostały rozdzielone przez egoizm stanowy, złość i głupotę. Odradzająca się epopea

walk z kozaczyzną może kiedyś ożywić talent nowego Sienkiewicza, ale dla Polski i Ukrainy niesie zarodki upadku i nowych klęsk. Sądzymy, że Daniłyszyn i Biłasa są dzisiaj niebezpieczniejsi dla naszej racji stanu na Wschodzie, niż byli za życia.

Sądzymy także, że ulaskawienie Daniłyszyna i Biłasa byłoby najlepszym najwspanialszym uczczeniem pamięci człowieka, którego ideałem było zbratanie, człowieka nam, jako Wilnianom, szczególnie bliskiego — ś. p. Tadeusza Hołówni.

P. minister Michałowski w przemówieniu na Komisji Budżetowej Sejmu dał do zrozumienia, że bierze na siebie odpowiedzialność za wykonywanie wyroków śmierci. Umiemy ocenić odwagę p. min. Michałowskiego brania na siebie odpowiedzialności za rzeczy niepopularne. Gotowość ponoszenia odpowiedzialności świadczy o zdolności do sprawowania władzy.

Ale z żalem i niepokojem stwierdzić musimy, że w tej sprawie, pomiędzy naszym poglądem na rolę Polski na Wschodzie a poglądem doradców p. Prezydenta Rzeczypospolitej istnieje przepaść.

DR. WŁADYSŁAW ARCIMOWICZ.

Erenburg, yo-yo i tradycje Europy

W Nr. 346 (z dn. 16 grudnia) „Izwestij” znany powieściopisarz rosyjski Ilja Erenburg umieścił artykuł p. t. „Myśl w dymisji” („Myśl w otstawkie”), w którym snuje refleksje krytyczno-literackie. Punktem zaczepienia jest dlań yo-yo, wyrastające w końcu do potęgi symbolu.

„Na bulwarach Paryża widziałem, — pisze sowiecki literat, — modną zabawkę: yo-yo. Jest to kulka, ją się

rzuca. jest ona uwiązana na sznurku i w skutek tego podskakuje. Jeżeli człowiek się nudzi, to może ją podrzucić całymi godzinami. Te kulki robi się z różnych materiałów: dla subiektyw — z drzewa, dla utrzymanki sprytnego bankiera — z brylantów. W jednej z witryn prezentuje się ponad temi kulkami głęboka filozoficzna sentencja: „Ta szlachetna zabawa uwolni was od konieczności myślenia”.

***) Postaramy się wkrótce dać szerszą charakterystykę naszej młodzieży.

****) Artykuł ten wraz z bardziej szczegółową charakterystyką naszej młodzieży, będą stanowiły pewną całość, do której szkic powyższy jest niejako wstępem.

„Nie wiem, czy pisarze francuscy bawią się yo-yo'em. Wiem jednak, że „....“ młodzi pisarze piszą doskonale książki o niczem. To wielka sztuka — trzeba napisać romans o 300 stronicach bez charakterów, bez wątku, bez myśli“.

Dalej mówi Erenburg o osamotnieniu P. Valéry'ego i A. Gide'a, a panoszeniu się powieści reklamarskiej, opłacanej przez grube ryby przemysłu i handlu, przytacza i wyolbrzymia przykłady przedańności literatów, którzy od krytyki „przeżytków“ burżuazyjnych przeszli do redagowania i wydawania pism poświęconych modzie i kabaretom, wreszcie rzuca kilka słów pogardy dla literatów komunizujących:

„Powody, dzięki którym mamy tyle nieoczekiwanych przyjaciół, są różne. Jeden stał się „czerwonym“ dlatego, że jego kochanka wołała jakiegoś jeszcze niebankrutowanego bankiera. Drugi dlatego, że nagrodę literacką przyznano nie jemu, lecz jego konkurentowi. Trzeci dlatego, że mu wyłączono telefon za nieuiszczenie rocznej należności. Po katolicyzmie, coctailach, pederastji, martynickich tańcach, freudyzmie, po kubistycznym malarstwie, gastronomicznych konkursach, na których podawano kotlety z nosorożca, po kolonialnej polityce, faszystowskich koszulach i burbońskich linjach ci ludzie postanowili na tyle to a tyle tygodni zająć się rewolucją. To nie jest nawrócenie Szawła. To nawet nie podstęp „trojańskiego konia“. To tylko zabawa w yo-yo i ogromna pustka duchowa“.

Otóż yo-yo wyrasta u Erenburga do symbolu tej pustki duchowej, z którą rozpaczliwie starają się walczyć tu i ówdzie osamotnieni utalentowani i wielcy poeci.

To wszystko nie jest nowiną w prasie sowieckiej. Wymyślanie zgniłej Europy przy każdej okazji, to zjawisko stałe. Najciekawszym jest to, że w oficjalnym organie Sowietów, sowiecki literat — publicysta narzeka na pustkę duchową Europy, *powstała wskutek zerwania z tradycją oraz z kulturą wieków i wybitnych indywidualności*. Oto sceptycyzmowi, gorzej: nihilizmowi, — Rochella przeciwstawia Erenburg nauczyciela, zarzuconego przez los, czy też przez władze sowieckie, w jakiś zakątek dalekiego Uralu. W prywatnym liście pisze ten nauczyciel protest przeciwko zdaniu, wspomnianego przed chwilą autora, które brzmi tak: „To co było dotychczas życiem nie zawiera w sobie zupełnie nic ciekawego. Uświadamianie sobie już więcej niepotrzebne, ponieważ już, nie mamy co uświadamiać“. Z powodu tych słów uralski nauczyciel pisze do Erenburga, udającego się do Francji: „Proszę mu (la Rochellowi) powiedzieć, że jeden człowiek z milionów ludzi, zaludniających kraj, z którego pan przyjechał, i niebezskutecznie próbujących przenicować dawne życie świata na nowy sposób, zapewnia jego pod słowem honoru, że to dawne życie jest bezwzględnie ciekawe i że oprócz jego chorobliwej świadomości są jeszcze nietknięte pokłady świadomości milionów, które mają uświadomić sobie jeszcze bardzo wiele“.

Erenburg z dumą przeciwstawia ten społeczno-oświatowy ideał swojego prowincjonalnego nauczyciela i biorąc go za wyraz powszechnego nastawienia sowieckiej Rosji w sprawach literacko-kulturalnych, tem większą litością, na dnie której świeci się pogarda, darzy francuskiego literata, przypuszczając nawet, że jego sceptycyzm nie był szczery, że to było tylko yo-yo, — tylko piękne i efektowne frazesy, rzucane przed siebie dla zabicia nudy.

Artykuł kończy się tak „Nie my niszczyliśmy plan-tacje kawy i nie my łamiemy maszyny. Nie my plu-

jemy melancholijnie na wszystko, co „było życiem“. Nas nazywano bezpańskimi. Ale oto chory świat się położył, zaczął chrypieć i wokół — pustka. Widocznie dziedzictwo my musimy przejąć. Któż pójdzie bronić (obstaiwać) wszystkiego, co było najlepszego w tym starym świecie: i Balzaka, i katedrę Matki Bożej i wielką wesołość narodu francuskiego — francuscy literaci czy uralscy nauczyciele?...“.

Artykuł powyższy daje wiele do myślenia. Przedewszystkiem świadczy on, że w sowieckiej literaturze zaczął się zwrot, lub też próba zwrotu, do tradycji literackich. Dzieje się to w literaturze, która przechwalała się dotychczas swoją beztradycyjnością. Kiedyś poseł St. Mackiewicz pisał o Sowietach, jako o kraju różnych najmniej spodziewanych możliwości. Może to właśnie jest jedna z tych niespodzianek dnia dzisiejszego. Niespodzianka ta przekreśla podstawową zasadę dnia wczorajszego: beztradycyjność i pogląd, jakoby świat, a jeżeli nie świat, to przynajmniej literatura i kultura „proletariacka“ zaczynały się dopiero od Marksa czy nawet aż od Lenina. Teraz zaś „literatura proletariacka“ ma zamiar przestać istnieć jako świat nowy, odrębny chce wrócić do źródeł burżuazyjnych i złąć się z niemi w jeden nurt.

Erenburgowi dopomaga B. Tal w artykule „Dajcie sowieckiemu czytelnikowi klasyków“ („Prawda“ Nr 349 z dn. 19.XII 1932). Pomijam w tej chwili na ogół ciekawe informacje autora o tem, jak prosperują wydawnictwa i handel księgarski w Sowietach. Zaznaczam to tylko, co wiąże się z zagadnieniem nawiązania do tradycji. Powiada Tal, że w ciągu 15 lat Sowiety wydały pół miliona wydawnictw książkowych (z tego w jednym tylko roku 1930 wydano 49.060) i zajęły pod tym względem pierwsze na świecie miejsce. Jednak, gdy chodzi o klasyczne utwory literatury rosyjskiej, to w oficjalnym państwowym handlu książkowym ich wcale niema, a prywatnie trzeba płacić za nie kolosalne sumy. Tanie popularne wydanie poezji Puszkina, które u nas w Wilnie antykwarnia Ickowicza w dowolnej ilości — sprzedaje po parę złotych za egzemplarz, tam kosztuje rubli 40. Akademickie wydanie naukowe kosztuje 400 rubli. Pisma Gogola prywatni dostawcy odnajdują za 250 rubli. W dodatku otrzymać to można tylko okazjnie po długich i mozolnych poszukiwaniach. Jeżeli utwory literatury rosyjskiej, obficie wydawane po wielokroć za rządów carskich, tak się przerzedziły, wyobrażam sobie tedy, jak musi być trudno w Rosji o oryginały i przekłady dzieł z innych literatur. Widocznie owe pół miliona wydawnictw, któremi się chlubią Sowiety, to tylko elementarze i bibuła agitacyjna. Wśród literatów sowieckich sam Erenburg w powyżej wspomnianym artykule wyróżnia jedynie Pasternaka, jako fenomen, stojący na poziomie, należytej naszemu wiekowi, kultury. Sam Erenburg i Gorkij, o ile się nie mylę, członkami partji komunistycznej nie są.

W tych warunkach przejęcie tradycji kultury literackiej europejskiej przez pisarzy i czytelników sowieckich jest rzeczą niełatwą. Bolszewicy prawdopodobnie z właściwym sobie bezwzględny uporem będą do tego dążyć, jeżeli rzeczywiście zwrot ku temu nastąpił, jeżeli artykuły Erenburga i Tala nie są tylko redakcyjnym nieporozumieniem, jeżeli nie mają one na celu mydlenia oczu i kocietowania speców starej daty pseudo-tolerancją.

Jeżeli się taki zwrot stanie, jeżeli cenzura osłabnie to rzeczywiście przed nowymi pokoleniami sowieckimi otworzą się głębsze perspektywy życia kultural-

nego. Dogmatyzm materialistyczny sowiecki w ciągu 15 lat mógł bardzo mocno się zakorzenić, szczególnie w pokoleniu, które obecnie jest u steru, ale najmocniej zakorzenione przesady padają wreszcie przed spontanicznymi siłami życia uczuciowego, przed rozumem i oczywistością. Już same głosy Erenburga i Tala świadczą doskonale, że czytelnik sowiecki odczuł dotkliwie głód przeżyć estetycznych, że nie zastąpiła mu klasyków obskurna beztradycyjna agitacja, ani rymowany wylew chamstwa Diemiana Biednyja, skoro poszukuje on i płaci tak drogo za klasyków. Rzeczywistość zaprzeczyła wszelkim wyteoretyzowanym machinacjom, mającym na celu „zorganizowanie armii” proletariackich pisarzy. Rozum wskazuje sferom rządzącym, że należy starać się zaspokoić głód estetyczny mas rządzonych inną, bardziej zgodną z prawami przyrodzonymi tego świata, drogą. I oto następuje nie tylko przyzwolenie, ale nawet zachęta do czytania klasyków, do oparcia się o tradycje literackie „zgniłej” Europy. Wreszcie następuje zapowiedź odziedziczenia tych tradycji po staruszcze, umierającej na postępowy kryzys-paraliż.

Oczywiście gdyby przepowiednia moskiewskiego consilium facultatis się sprawdziła, gdyby bogata w skarby kulturalne ciocia Europa burżuazyjna umarła, nabyłby już wtedy nie stało na przeszkodzie i cały spadek przyswoiliby sobie wschodni spadkobiercy. Jak ten spadek zostałby zużyty, to już całkiem inna sprawa. Dzieła sztuki i literatury europejskiej musiałyby chyba przejść te koleje, jakie przechodziły kosztowne meble dywany, biżuterje i t. p. rzeczy rosyjskiej arystokracji, zanim znalazły przytulisko w rękach, mieszkaniach i kieszeniach nowej elity politycznej, w rękach nowych, jeszcze bardziej despotycznych niż dawniejsi, panów, chłopstwa, zamieszkałego na olbrzymiej przestrzeni od morza Białego do Czarnego, od Dniepru do cieśniny Berynga. Nietrudno wyobrazić sobie Danta i Byrona w interpretacji mistrzów ze szkoły agitatorów bezbożnictwa i klasowej nienawiści. Najdroższe perły na przeciąg stuleci uległyby zatraceniu w powodzi proletariackiej pseudo kulturalnej tandety.

Biorąc rzecz z innej strony, zarzuty Erenburga w stosunku do Francji, zmuszeni jesteśmy uznać za słuszne, — co gorzej: dadzą się one rozciągnąć na teren znacznie szerszy, na cały świat kapitalistyczny. Tak to jakoś wygląda, że yo-yo — to nie żarty, że to rzeczywiście symbol bezmyślności i zdziecinienia staruszki Europy. To nic, że faszyzm i hitleryzm butnie potrząsają kijami i rewolwerami, — to tylko strachy na... żydy. To nic, że każdy kraj europejski może pochwalić się paru wybitnymi pisarzami, — pisarzy tych nikt nie zna, a czyta ich znikomo szczupłe grono wielbicieli. To nic, że Liga Narodów obraduje, — uchwały jej nikogo ani moralnie, ani faktycznie nie obowiązują. To nic, że razem wzięwszy, kraje Europy przewyższają Sowiety co do ilości wydawnictw, wydawnictwa te to w 90 proc. bezmyślnie sensacyjne powieści, lub dalekie od życia i przeznaczone co najwyżej dla 10 osób mędrkujące rozprawy akademickie. To nic, że w Polsce raz po raz próbuje jakikolwiek marzyciel wydawać poważne pismo literackie, — jedyne z czasopism tej dziedziny, które nie upadło po paru pierwszych miesiącach to „Wiadomości Literackie”, które w ciągu szeregu lat swojego żerowania na sensacji nie podeszły poważnie bodajże do żadnego zagadnienia literackiego. To nic, że mamy kilkadziesiąt czasopism, — najpożytniejszym z nich jest „Tajny Detektyw”.

Na całej przestrzeni okopów świętej Trójcy nie widać ani opatrnościowych ludzi genialnych, którzyby

myśleli za masy i byli za nią odpowiedzialni, ani mas ogarniętych wspólnym błogosławionym szaleem ideowo twórczym. Od Paryża do Wilna ludzie pochłonięci są rzucaniem yo-yo. Ta szlachetna gra uwolniła nas od obowiązku myślenia za innych i za siebie. Każdy uważa na to tylko, aby iść „z postępem”, a postęp to moda, a moda to yo-yo.

Najgłędniej się spisują w tem wszystkim spóźnieni epigoni bolszewizmu, propagujący beztradycyjność, i to beztradycyjność nie własną, lecz tą zmaltowaną, bolszewicką, której bolszewicy już się wyrzekają. Nimi nawet ich mistrzowie bolszewicy gardzą, bo wiedzą, że to tylko z nudów, że to tylko yo-yo. Prawdziwie głodny proletariąt odwraca się od nich z obrzydzeniem, jak od wrzoda, jednego z najobrzydliwszych, który się wyległ na gnijącym ciele zwyrodniałego kapitalizmu. Na to, żeby burzyć wszystko, co zbudowała przeszłość, nie mając nawet planu na nowe gmachy, może sobie pozwolić tylko próżniak, ptak niebieski, żerujący na kapitalizmie, ale nie pozwoli sobie na to rzetelny, przyzwyczajony do pracy i do walki z życiem proletariusz, budujący przyszłość swoją i swoich braci. Ptak niebieski, żonglujący słowem dla epatowania, robiący karierę literacką czy polityczną, może pluć w stronę takich słońc jak Mickiewicz, Kasprówicz, Wyspiański, mniemając, że tem już swoją osobę i klikę na czoło literatury wysunął. Może pluć nawet bezkarnie tak, jak bezkarnie może pokazać figę, byle tylko w kieszeni, największym potentatom świata. Figi nikt nie zobaczy, a plwocina do słońca nie doleci. Ale człowiek pracy, człowiek jutra, który nie o sobie, ale o gmachu budowanym myśli, może i musi pracować w łączności ideowej, z tradycją, z tytanami myśli, natchnieni i pracy dnia wczorajszego.

W takich warunkach oczekiwania naszych serdecznych sąsiadów na skórę a bezdzietną śmierć dotychczasowych właścicieli kultury europejskiej nie są bez podstawy. Chcą oni już zawczasu poznawać te skarby, które w spadku zamierzają zagarnąć, polecają tedy czytać klasyków po 15-letniej przerwie.

Ale tu jest właśnie kapitulacja przed kulturą europejską, przed tem, co zostało wzgardzone, zepchnięte z areny dziejowej do podziemi G. P. U., kapitulacja przed życiem duchowym, do którego życie estetyczne jest pierwszym, nie dającym się ominąć, szczeblem. A jakże to restaurować klasyków bez ich psychologizmu, spirytualizmu, religijności i porywającego za sobą talentu? A co się stanie z materialistycznymi podwalinami ekonomii politycznej Marksa: materialistycznym poglądem na świat? Czy tu wystarczy do obrony interwencja G. P. U.? A może obchodzone obecnie 15-lecie tej, ociekającej krwią, instytucji stanie się jej chwilą przełomową i wprowadzeni podczas tej uroczystości klasycy, zgotują jej los Bastylji? — Na wszystko to odpowiedzieć niepodobna. Zresztą niech się biedzą nad odpowiedzią, ci którzy w tem są bezpośrednio zainteresowani. Ja wyprowadzam z tego, co powiedziałem, zupełnie inny wniosek.

Jakkolwiek kapitalizm i formy życia ekonomicznego, które on wytworzył, wszędzie się chwieją i lada dzień boleśnie, czy bezboleśnie ulegną zasadniczym przeobrażeniom, to jednak kultura wiekowa, kultura nie kapitalistyczna (bo ta liczy sobie dopiero lat około setki) ale kultura europejska (weźmy szerzej: chrześcijańska) ta ma w sobie wielki urok i wielką siłę. Nie opiera się ona ani na faszyzmie, ani na koncernach, ani na Lidze Narodów, aczkolwiek te są po części jej wytworami, lub jej zboczeniami. Jej nie zniszczy upadek kapitalizmu, jak nie zniszczyły jej wojna europej-

ska, kabarety, dyplomacja i coctails. Można ją na czas usunąć na plan dalszy, jeżeli zawadza czyimś prywatnym poczynaniem (poczynania kolektywne też są prywatne, jeżeli nie mają na względzie prawdziwego moralnego i intelektualnego postępu ludzkości a tylko kolektywny zysk), ale nie można już odebrać jej światu i nie można jej pozbawić potęgi twórczej. Wcześniej czy później narody o nią, o jej nowe, konsekwentne, dalsze etapy się upomną, a ona wróci w postaci „klasyków” i przypomni, że nie kto inny, ale właśnie ona to obaliła i cesarów, ubóstwionych w Rzymie, i przesady średniowiecza, i Bastylę, i terror Konwencji, i czarną noc niewoli narodów przed rokiem 1914. Przeszkody te i przeciwności były zaiste nie mniejsze niż amerykański bandytyzm, prohibicja, kapitalistyczne koncerny, spogańszczony nacjonalizm, G. P. U., dykta-

tura proletariatu, yo-yo i inne plagi dnia dzisiejszego. „Balzaka, katedry Matki Bożej, humor Francuzów”, uporczywej myśli Niemców, chłodnej rozważliwości Anglików, entuzjazmu Polaków, upartej wytrwałości Litwinów bronić nie trzeba. Niepotrzebnie martwią się o to biedni, zamknięci od świata na dalekim Uralu, nauczyciele. To są rzeczy nieśmiertelne i trwać będą, dopóki świat światem, zapadając czasem na epidemiczną dolegliwość w rodzaju melancholji, czy yo-yo, lub nawet na chorobę obłożną, jak prohibicja, kapitalizm czy bolszewizm, a czasem budząc się wbrew wszelkim obliczeniom, do intensywniej postępowej pracy.

„Z duchem jest tak jak z wodą — zmieść ją w dolinę z gór, to odtryśnie na niebo o całą miarę poniżenia”... „Nie wszystko co nadlogiczne jest przeciwnologiczne”. (Norwid C.).

FELJETON „WŁÓCZĘGI”.

Przedruk dozwolony
a nawet zalecany.

„Ministerjalna baba”

(O kobiecej plutokracji słów kilka).

Autor feljetonu niniejszego nie jest bynajmniej wrogiem kobiet.

Wyrośłem wśród prawdziwych emancypantek, kobiet szlachetnych i pełnych poświęcenia. Miałem później koleżanki organizacyjne, których biografja pełna była czynów bohaterskich wielkich, małych, skromnych i głośnych.

Jeżeli więc dziś piszę to, co pisać w tej chwili zaczynam — nie zwracam się przeciwko emancypacji zasadniczo, ale przeciwko odłamowi tego Golsztrumu, który wydaje mi się czynnikiem szkodliwym wprawdzie nie dla rozwoju snobizmu, ale dla prawdziwego postępu.

Z kobietami po wojnie stało się mniej więcej to samo co z mężczyznami należącymi do warstw wchodzących po wojnach i rewolucjach. Emancypacyjny ruch kobiecy osiągnął po wojnie sukcesy, o których nie śniło się najśmielszym przedwojennym emancypantkom.

Oczywiście jeżeli będziemy mierzyć te sukcesy tylko miarą ilościową rezultat zwycięstwa nie będzie tak bardzo oszałamiający. Ilość sędziów-kobiet nie przekroczyła do niedawna jednej p. Grabińskiej (a szkoda). Nie posiadamy o ile wiem, ani jednego uroczego prokuratora (też szkoda). Natomiast jakościowy miernik emancypacji doprowadza nas nieomal do przedpo-koju Matryarchatu!

Ród męski wrócił po wojnie do domu, osłabiony, mówiąc stylem Shaw’a, w swoich niższych i wyższych ośrodkach. Kryzys dobił jeszcze zdziesiątkowanych, czyniąc go apatycznym, zgorzkniałym i wewnętrznie smutnym. Otoczył ów ród rój kobiet, liczniejszy, energetycznie mniej wyczerpany, w obu ośrodkach bardziej głędnym! Wskutek tego psychologia niewieścia znalazła się w ofensywie, defenzywa zaś męska poczęła się cofać ku pozycjom pro-forma uprzywilejowanych trutni.

W niesłychanie szybkim tempie poczęła wyra-astać warstwa kobiecej plutokracji! Wpływ niewieścia na kariery personalne, politykę, sprawy społeczne, prądy intelektualne, literaturę, sztukę, teatr wzrósł w procencie, przewyższającym o/0 z okresu t. zw. najlepszych konjunktur. W każdej z komórek życia, która

od wieków była domeną mężczyzny, usadowiła się szara Eminencja w sukience bez rękawów.

Ale jednocześnie codziennie o 12-ej w nocy we wszystkich miastach Rzeczypospolitej odbywają się łowy uliczne, przypominające operacje Hotentotów, czy Kafrów z czasów ekspedycji Rogozińskiego. Obok strojnych pań powracających z kina, odczytów, zebrań i teatrów, rozlegają się nieludzkie wrzaski dziewcząt ulicznych wleczonych do komisariatów! Dziewcząt — które w latach ostatnich, dostały się na ulicę, prze-ważnie dzięki, kryzysowi. Dziewcząt których życie jest jedną męczarnią w trójkącie pomiędzy głodem, nożem sutenera i prawem nieludzkim.

W kraju w którym istnieje największa hańba XX-go wieku — żółta książeczka — niema dostatecznej ilości domów poprawy dla kobiet upadłych! W kraju w którym de facto istnieje dożywotni przymus zła, ponieważ ani eks-więzień, ani b. ulicznica pracy znaleźć nie mogą! W kraju, w którym katowanie żon i dzieci nie jest de facto karalne!.. w kraju tym uchwalane są tuzinami humanitarne rezolucje, walczy się zawzięcie z prostytutką... w Argentynie, całuje się kobiety w rękę... i rozmawia się z niemi „postępowo” a naj-drażliwszych sprawach w zakresie erotycznego snobizmu. Ecce jest: dno i wierzchołki. Ale czy lepiej jest „w klasie średniej” ostoja cnoty, ładu i porządku? Jest tajemnicą publiczną, że tysiące kobiet musi ciałem płacić możność t. zw. „uczciwego zarobkowania”. Tysiące robotnic, kasjerek, ekspedjentek, maszynistek i t. d. musi połączyć swój zawód z zawodem zawodowych kochanek. Prostytucja tajna w kraju, w którym kobiety głosują, a nawet są wybierane jest bodaj jeszcze liczniejsza niż jawna!

A jednocześnie na wszystkich kongresach międzynarodowych paple zawodowe paplą o wielkich „zdobyczach” polskiego ruchu emancypacyjnego. A w prasie toczy się zawzięta dyskusja pro i contra ślubów cywilnych. Oprócz jednak zagadnień „wykolejeńczych” są i normalne. Istnieje dom już nie monarcha, absolutny jak dawniej, ale powiedzmy konstytucyjny prezydent naszego życia? Czy może tam jest lepiej? Czy może tam jest owe „ziarno przyszłości”, „kamień węgielny” nowego życia?

Niestety dom dzisiejszy jest pusty i martwy pomimo radja i gramofonu. Ukryta lub półjawna walka o równouprawnienie niższych ośrodków, szare życie nad stanik, ocean inflacji stowarzyszeń papierowych, bridż, Yo-Yo i nuda—oto jest mniej więcej dom współczesny w streszczeniu. W pewnej części rodzin można ostatnie słowo nuda zastąpić słowem przemęczenie.

Czego się uczą nasze pensjonarki, akademiczki, uczennice szkół zwanych przez organizatorów zawodami. Przedewszystkiem zrana scholastyki, w południe hysterji (przyobiadowe rozstrząsanie spraw ekonomicznych), wieczorem nadmiernych wymagań życiowych t. zw. film luksusowy. Jeżeli do tego dodamy odwieczne piórka w jakie stroić się lubi każda Ewa, zrozumiemy dystans jaki dzieli ton panujący wśród kobiet od t. zw. konieczności życiowych.

Mam wrażenie, że współczesna młodzież żeńska ucieka do wszystkich zawodów i do wszystkich „nastrojów wewnętrznych” od jednej rzeczy która z woli Matki Natury jest podstawą życia: ucieka od gospodarstwa domowego. Temsamem musi uciekać i od innych obowiązków, iść w kierunku anormalnym.

Cechą każdego plutokraty jest, jak wiadomo niechęć do poprzedniego trybu życia. Nafaszerowane przez snobów pedagogiki, sałatką z wiedzy niepotrzebnych, mózgi młodych inteligentek wstydzają się befsztyka. Dom, który w Niemczech, Francji, Ameryce, Włoszech, w naszym rodzinnym Poznaniu, na Pomorzu, opiera się na pracy pani domu, w b. zaborze rosyjskim musi z konieczności prowadzić albo do nędzy, albo do nadużyć! W kuchni króluje Królowa Plita z czadem, węglem, dymem i koszykowem. „To co mąż wwozi wózkiem” (wozem się obecnie nic niewozi) emancypantka współczesna pomimo własnych dodatków wynosi fartuchem.

Spoglądam wstecz! Ileż zmian mój Boże, w królestwie męskim w ciągu ubiegłych lat 10-ciu. Ale Królowa Plita podobna jest do metryki kobiecej. Za 10 lat emancypantki będą rozmawiały o nowej Marlenie która zastąpi starą Dietrich, o toczku i o nowym tango. Gaz, elektryczność, budżet domowy, będą w dalszym ciągu rzeczami niegodnymi uwagi. To tematy dobre dla płasko-stopych pomorzaniek!

A stół nasz pseudo-współczesny ciężki, niezdrawy, bezjarzynowy i bezowocowy, drogi i sklerotyczny. Trzebaby chyba kucharza zrobić premierem, ażeby to zreformował. Nasze plutokratki nie zajmą się tem napewno. Uważałyby za ubliżenie dla siebie interesować się nawet demonem menu, który płodzi obżarstwo w klasach wyższych, katar żołądka w średnich i nędzę w niższych. Reforma kuchni i stołu, walka o gaz i potaniecie elektryczności, budowa hal i tanich środków komunikacyjnych, ten pierwszy krok w najważniejszej gałęzi życia domowego — to są tematy dobre dla „prozaicznych” i „nieinteresujących” poznanianek, względnie mężczyzn. My duchy wyższe i t. d.

A tymczasem historia która lubi zaglądać nie tylko do salonu, ale do kuchni prosi, ażeby się zdecydować. Albo, albo! Albo masowe klitki i wspólne jadłodajnie sowieckie, albo reforma ustroju gospodarstwa domowego?

Muszę na chwilę przerwać pisanie, ponieważ słyszę już wrzask obrażonych plutokratek. Ależ to przecie wy paskudnicy doprowadzacie do wszelakiego upadku kobiety z natury swojej jaknajnotliwsze. To wy jesteście odpowiedzialni za kryzys społeczny, moralny i materialny. To wy odwracacie nasze umysły od materji do abstrakcji krucht i alkoholu idei! To raczej wy jesteście specami od tego wszystkiego co

nazywamy życiem irrealnem! To wy nie umiecie znaleźć wyjścia z labiryntu skostnień waszych eks-idejek na prostą drogę harmonji 3-ch czynników: kultury, pracy zarobkowej i racjonalnej organizacji gospodarstwa domowego. To wy we wszystkim zawsze i wszędzie jesteście winowajcami!!!

Czcigodne panie! Nie będę bronił z pewnością, ani męskiej głupoty, ani tembardziej męskiej kanalii. Ale zła nie można wyleczyć gderaniem, wykrzyknikiem „potwory!” i zdaniem „a nie mówiłem”. Zło społeczne leczy jedynie mądre prawo, poparte przez bezwzględna siłę! Na mądre prawo jeszcze stać i mężczyzn, ale kto da siłę? I tutaj niech mi wolno będzie wyjaśnić tytuł feljetonu niniejszego.

W pierwszych latach powojennych zdarzyło mi się raz czekać na coś w poczekalni jednego z wileńskich urzędów. Po b. długim i bezskutecznym czekaniu na urzędników — mężczyzn, wyszła do nas pewna miła panienska i od razu załatwiła wszystko. Przy sposobności zrobiła uwagę swemu szefowi, pouczyła referentów, z macierzyńską troskliwością wypytala nas o biedę i bolączki, nic więc dziwnego, że stała się dla nas symbolem siły i europejskości swego biura.

Kiedy uszczęśliwiony i załatwiony opuszczałem biuro owej panienski, moi towarzysze w czekaniu zastanawiali się głośno nad tajemnicą szybkiego załatwienia naszych spraw. Różne były dociekania, ale jeden aforyzm, prawdziwy vox populi pozostał mi na całe życie: „nu co tam wiadomo ministerska baba”.

Od czasu narodzin owego aforyzmu przeżyłem wiele złudzeń i zapomniałem wielu aforyzmów, ale ten aforyzm pozostał mi na całe życie. Ministerjalna baba trzęsie już dziś każdą komórką naszego życia, każdą jacejką polityczną, organizacją społeczną, szkołą, sztuką, teatrem, literaturą, urzędem i opinią publiczną. Na całym froncie zdobytych twierdz męskich pozostały właściwie już tylko dwie reduty Ordona, t. j. kler i korpus oficerski. Nic jednak nie wiemy w jakim stopniu przenikły do tych redut szare Eminencje.

Nic też dziwnego, że do tej kobiecej władczyni ordynarnie nazwanej przez głos ludu „ministerską babą” kieruję na zakończenie feljetonu, błagalny głos podbitego plemienia. Spraw, o ministerjalna, ażeby Polska przestała być pawiem i papugą narodów w tej najważniejszej dziedzinie, jaką jest nowoczesna organizacja życia rodzinnego! Spraw, ażeby emancypacja kobiet nie polegała jedynie na polakierowaniu barbarzyństwa! Spraw, ażeby postęp t. zw. demokratyzacji nie ograniczał się jedynie do sukienki bez rękawów i jedwabnych pończoszek kucharek! Nie pozwól, ażeby mężczyźni kaleczyli młode dziewczęta talmudami pedagogicznego snobizmu! Uczyni przejściową epokę, epoką zdecydowaną i jasną! Każ mężczyznom, ażeby swój rzekomy „kult dla kobiety” demonstrowali nie tylko w salonach, ale i na ulicy. Wprowadź postęp nie tylko do szanownej rodziny mój wszelakich i związków pań domu, ale i pod strzechę milionowych rzesz kobiet z ludu! Krótko mówiąc zrealizuj pierwszy krok życia kobiety, jako pierwsze przykazanie kodeksu prawdziwej emancypacji!

W imieniu pewnego grona mężczyzn żonatych odważył się napisać nieżonaty.

Kazimierz Leczycki.

P. S. następny mój feljeton będzie nosił tytuł „Wielkopański dziad”!

Inicjatywa

Armia Pracy powstała już na Śląsku. Kiedy powstanie w Wilnie?

Prasa przyniosła wiadomość o powstaniu t. zw. zespołów pracy na Śląsku. Skoszarowani i umundurowani pracownicy zespołów staną do robót publicznych wzamian za utrzymanie.

Po Wilnie waleśa się moc ludzi bez pracy, nabierając z musu garkuchnie i paniusie. Czy by się nie znalazł wreszcie jakiś tegi organizator, eks - oficer saperów i nie stworzył wreszcie Armii Pracy w Wilnie?

O twórczą rolę dla policji!

Przyczyną niechęci do policji, niechęci panującej niefylko w masach ludowych, jest znaczna przewaga obowiązków negatywnych nad pozytywnymi. Policjant jest organem woli społecznej, a wola nigdy nie jest miła dla zachcianki. Jednakże dobrze by było, ażeby ta wola była nie tylko porządkująca, ale i wolą opiekuńczą. Stworzenie przy komisariatach, względnie przy rodzinie policyjnej ośrodków opieki społecznej, t. j. bezpłatnego hoteliku z tanią jadalnią dla bezdomnych byłoby rzeczą nadwyraz wskazaną. Da to korzyść podwójną. Po pierwsze filantropia będzie zawsze „nabrana”, policja nigdy (kartoteki). Po drugie dno społeczne nie to występne, ale to nieszczęśliwe, ujrzy wreszcie w policjancie nie tylko maszynę do sprawdzania dokumentów, ale i swego opiekuna.

Jak zmniejszyć bezrobocie wśród inteligencji?

Część naszych instytucji społecznych można by zgrubszą podzielić na synekuralne i bezpłatne. Synekuralne oczywiście nie są do pochwały, czy jednak zasługuje na pochwałę i zupełna gratisowość? Dla teoretyków tak, dla praktyków nie!

Honorowość naszych organizacji społecznych łączy się bardzo często z ich paraliżem. Jedne i te same załatane społeczniki, czekają na jedne i te same chore „kworумы”. Nikomu się nie chce przychodzić, bo każdy zgóry wie, że to tylko „sztywna” akcja na miękkim papierze. Tymczasem etat płatny, dając pracę realną, potrafiłby zarówno ściągnąć „zamrożone” składki, jak i wyleczyć nieuleczalne kworумы!

Jednocześnie, gdyby w tych organizacjach powstały chociażby b. skromnie płatne placóweczki, iluż ludzi byłoby uratowanych od nędzy, wegetacji, a nawet samobójstwa. Komitety bezrobocia pomyślcie o tem! Bezpłatne zupki to jeszcze nie wszystko!

Kiereńszczyzna podatkowa.

Osoby, które po Klubie Włóczęgów, zabiegają do restauracji na skromny bigos zapłacą 50 groszy podatku od siedzenia. Osoby, które nachlają się wódek i koniaków od 10-ej do 4-ej zrana na 100 zł. zapłacą również po 50 gr. Trudno tedy przyznać, że podatek ten jest ideałem sprawiedliwości. Byłoby o wiele słuszniej, gdyby poprostu ceny po 12-ej były o parę % wyższe, jak to się dzieje w kawiarniach przy muzyce. Skoro jednak prawo jest, nie można dopuszczać do demonstracyjnego nie płacenia, jak to się dzieje w wileńskich restauracjach. Czcigodna władzo wejrzyj w to. Albo prawo musi być usunięte, albo musi być załatwiona podatkowa kiereńszczyzna.

Dzieci uliczne.

Zalew ulicy przez dzieci bezdomne wzrasta w sposób zastraszający. Sfery filantropijne interpelowane w tej sprawie odpowiadają „żywność by się znalazła, ale niema miejsca”. Dobrze ale przecież są własności po kilkanaście domów liczące, która nie mają podobno z czego opłacić podatków. Więc zabrać jedną, kamieniczkę za podatki, na przytułek i szlus. Podatek w naturze jest najlepszym, wyjściem społeczno - kryzysowym.

Włóczęga po mieście

„Głos ludu“

Wracałem ze wsi. Kilka dni nie czytałem gazet. Na dworcu w Lidzie kupilem stare i świeże egzemplarze wszystkich prawie gazet wileńskich, jakie znajdowały się w kiosku. Czytelnik rzadko opuszczający miasto a przyzwyczajony do codziennego czytania jednej a może nawet kilku gazet zrozumie, z jakim zapalem zabrałem się do czytania. Pograżony w lekturze ani spostrzegłem, że vis-à-vis siedzą trzy przemile kozy w batorówkach, rozszczebiotane, roześmiane, hałaśliwie wesole. Początkowo nie zwracały na mnie uwagi, po pewnym jednak czasie wydało mi się, że osoba moja zaczyna budzić ich zainteresowanie, ponieważ zaczęły coś pod moim adresem szeptać i wskazywać oczami na mnie i stos gazet koło mnie. Poprawilem czuprynę, ukradkiem spojrzełem na swe odbicie w oknie wagonu. Przypomniałem wskazówkę pewnego doświadczonego donżuana, że choćc podobać się kobietom, trzeba udawać całkowitą względem nich obojętność i mieć myśląc wyraz oczu, wdał zapatrzonych. Ale o czym tu myśleć? Bajka powiedzieć, myśleć, ale o czym? — Bajka... Jaką ja czytałem ostatnio bajkę? Bajka... bajka... Aha, już wiem, to w gwiazdkowym numerze „Słowa” jakiś pan cklewie tęskni do dobrych czasów zaboru rosyjskiego, żali się na wybuch wojny światowej za to, że położył kres cudnej bajce, w której jeździło się wagonem sypialnym pod opieką dyskretnego „przewodnika”. Ach, gdyby tak, jak ten pan, być złotym młodzieńcem, jechać wagonem sypialnym w towarzystwie tych oto trzech kózek w batorówkach, od czasu do czasu usłyszeć miły dźwięk „waszi biletiki pożałujcie”... Marzenia, bajki... Umiłają one chwilę pasażera klasy trzeciej (50 proc. zniżki), któremu dokucza twarde siedzenie, konduktor w rogatywce i niemożliwy upał i zaduch wagonu.

Z bajecznej dali wzrok wraca do rozłożonej gazety. Boże, co to? Ruina nauki polskiej. Aj, jak... To przecie chyba redukcja profesorów i asystentów. A człowiek był taki spokojny. Taka świetna posada, toż to prawie tyle, co posłem na sejm. Uposażenie co prawda o wiele niższe, urlopy o tyleż krótsze, na tamtych polajanki się skończyły, na tych się zaczynają, ale redukcja ani tamtych, ani tych jeszcze nie dotknęła. Trzeba jednak przeczytać. Aha, zdanie w cudzysłowie, dzięki Bogu, może tylko na polajankach i pogroźkach się skończy. Pisz sam Cat, ten świetny znawca stosunków na uniwer-

sytetach w kraju i zagranicą, z Charkiewiczem, specem od opisywania słabostek panów profesorów.

Ach, gdyby tak zamiast mieć posadę przy uniwersytecie być na przykład redaktorem lub wręcz wydawcą gazety, można by wtedy pisać o tym uniwersytecie bez obawy utraty posady wszystko, co ślina na język przyniesie. Albo żeby być takim uczonym i tak znać stosunki profesorsko - studenckie, jak chociażby p. W. Charkiewicz. Napisałoby się wówczas nieco więcej o gehennie biednych studentów. Zarządziłbym wówczas publicznie, ażeby na egzaminie był obecny conajmniej jeden dziennikarz z prawem formułowania pytań stawianych studentowi przez profesora tak, aby te pytania same służyły za odpowiedzi. Gdyby tak mieć prawo zabierania głosu w imieniu opinii publicznej, przypomnielibym dobre stare czasy kiereńszczyzny i zażądałbym usunięcia wszystkich profesorów, tej zakaly nauki polskiej, i na katedry posadziłbym... już ja wiem, kogo bym posadził.

Takie oto miałem myśli w wagonie trzeciej klasy P.K.P., kiedy udawałem obojętnego wobec mych sąsiadek z przedziału i robiłem zamyśloną minę. I miał rację mój stary przyjaciel. To poskutkowało. Oto w pewnej chwili zwraca się do mnie jedna z kózek z pewnem żałowaniem: — Przepraszam, czy mogę pana prosić o gazetkę?

— Ależ naturalnie, służę pani choćby wszystkimi. — Nie, nie, mnie potrzebne tylko „Słowo”. O, jest, jest. Patrz, Irka. Pierwszy Mackiewicz. A Charkiewicz na drugim miejscu. Co? nie mówiłam? — Zaczynają mnie intrygować te kozy. Co to znaczy: pierwszy, drugi? Aha, domyślam się: Mackiewicz i Charkiewicz widocznie walczą o odznakę POS. No, no. I Charkiewicz też. Zresztą czemu nie i co w tem zdrożnego? Przecie już wszystkim jest znane hasło: POS. — cherlactwa kres. Ja, jako lekarz muszę tylko przyklasnąć...

— Czy pan nie pozwoliłby wyciąć kuponu ze „Słowa”, zwraca się do mnie jedna ze studentek. Aha, myślę sobie, podobalem się znaczy, szuka pretekstu do zaczęcia rozmowy.

— Ależ proszę bardzo. Tylko nie rozumiem o jaki kupon chodzi, powiadam.

— To pan nic nie wie. Odrazu widać, że pan z prowincji (byłem w sportowych spodniach i nieogolony). To przecie całe Wilno bierze udział w wyborach najlepszego księdza, uczonego, pisarza, lekarza... Wie pan, to tak, jakby miss Wilna. Stanisław Mackiewicz, wie pan, ten co pisze w „Sło-

wie", otrzymał już sporo głosów na najlepszego pisarza. Irka, ile głosów ma Mackiewicz? O, widzi pan, siedemdziesiąt dwa głosy. A my w swojej paczce postanowiliśmy, żeby na pierwszych dwóch miejscach byli koniecznie Mackiewicz i Charkiewicz.

— Istotnie, powiadam, byłem kilka dni na wsi i o niczym nie wiem. Szczególnie, że całe Wilno... Pani wie jak to na wsi: las, polowanko, kucja, trochę się piło, jadło. Powiada pani całe Wilno głosuje, siedemdziesiąt dwa głosy. Ale zbierze się chyba więcej. Bo przecie na miss Wilno padło coś dużo głosów. A jakże. Było wielkie zainteresowanie. W jury brali udział pisarze, artyści, profesorowie... A jakże, a jakże. Pamiętam, pamiętam. „Słowo” oburzało się, że tacy niby poważni ludzie i raptem... miss Wilno. A teraz to samo „Słowo” urządza konkurs na... na, jak to pani powiada, miss ksiądz, miss uczony, miss pisarz, czy tak?

Ale koza mnie nie słucha. Tylko prosi o scyzoryk, wyćina kawałek z każdego egzemplarza „Słowa”, prosi o pióro i zwraca się do koleżanki:—Pisz ty, Irka, bo ja już napisałam jedenaście kuponów, mogą w redakcji poznać charakter i unieważnić głos.—Ja też napisałam całą kupę, może wobec tego Zocha wypełni.—Ależ dajcie spokój, protestuje niska blondynka w białym kołnierzu, ja u wszystkich znajomych pozabierałam kupony i napisałam własnoręcznie conajmniej piętnaście sztuk. Wiesz co?... i zaczyna coś szeptać na ucho mojej „znajomej”. Po chwili ta zwraca się do mnie:—Może pan zechce wypełnić te kupony.—Bardzo chętnie, tylko ja nie zgadzam się, tego, nie zupełnie rozumiem...—Ależ pan nie będzie podpisywał, może postać anonimowo, prosi koza.—Dobrze, już piszę, ale co i gdzie?...—Ot tu, w rubryce kaplan, proszę pisać ksiądz Lubianiec, wie pan, wszyscy tak piszą. W rubryce uczony może pan pisać, kogo pan chce. My piszemy profesor Marjan Zdziechowski. Dobrze panie wybrały, bo to naprawdę uczony na miarę europejską. Obawiam się tylko, że ten czcigodny uczony będzie miał żal do nas za to, że dla jakiegoś tam konkursu używa się jego nazwiska, nie prosząc go o zgodę... A teraz rubryka pisarz. Koniecznie niech pan pisze Stanisław Mackiewicz.—Nie, nie, niech pan pisze Charkiewicza, denerwują się Irka i Zocha. Zaczyna się żywa sprzeczka. Czekam cierpliwie. Nareszcie ustalili: na dwóch kuponach piszę nazwisko Mackiewicza, na jednym zaś Charkiewicza. Pisałem ciesząc się z milej niespodzianki, jaka spadnie na Mackiewicza i Charkiewicza. A jakże. Miss pisarz. Dalej wspólnymi siłami napisaliśmy nazwiska Ferdynanda Ruszczycy, Juliusza Osterwy—(„bo przystojny i zawsze robił takie cudowne oko ze sceny. A Wyrwiczka niech pan nie pisze, bo jest chudy i ma taki długi nos”). Dalej już nie pamiętam, bo nazwiska padały mało mi znane. Zatrzymałem się niezdeterminowany nad rubryką „lekarz”. Miałem wielką chętkę napisać własne nazwisko. Choć w ten sposób trafić na łamy prasy i zdobyć popularność, ba, może nawet trochę praktyki. Trzy głosy, acz własnoręcznie wypisane, miałbym murowane. Ale nie mogłem zdecydować się na stanowczy krok, może przełomowy w moim życiu. Walczyłem ze sobą: albo teraz, albo nigdy, albo popularność, albo pozostawanie nadal w cieniu. Ach gdybym był redaktorem gazety, lub wręcz wydawcą, napewno cały personel redakcji i administracji oddałby za mnie głosy, za swego szefa, za swego chlebodawcę. Zrobiłoby się dobry początek. Ogłosiliby się pierwsze wyniki konkursu. Dalej już poszłoby gładko, bo tłum jest bezkrytyczny, idzie za większością. Stałbym się popularny tanim kosztem. Na ulicy, w kawiarni kinie, teatrze pokazywanoby na mnie szepcząc dyskretnie i z zachwytem: „wiesz, to ten dokróć P... miss lekarz”. A może jednak spróbować: kupować codziennie dużo numerów „Słowa” (żebyż to 5-cio groszówka), wycinać kupony, pisać swoje nazwisko w rubryce „lekarz”. Można przecie głosować anonimowo. Chodzi tylko o to, żeby mieć dużo kuponów, to znaczy mieć dużo numerów „Słowa”. Zaczęłem trochę rozumieć sens tego konkursu.

Pogrążony w rozmyślaniach machinalnie pisałem nazwiska podawane przez miłe sąsiadki. Zbliżaliśmy się do Wilna. Pociąg z szaloną szybkością pędził od strony Porubanka. Zawsze myślę o możliwości katastrofy na tym odcinku i o jej strasznych skutkach. W tym wypadku skutki byłyby naprawdę straszne, bo zginęłyby trzy kupony, ja i moja nadzieja: zostać w przyszłości jakimś miss. Wychodziłem z wagonu smutny, bo w roztargnieniu zapomniałem spytać o imię trzeciej kozy

Na drugi dzień już w Wilnie spotkałem przy kiosku znajomą, która czyta stale 5-cio groszówki. Tym razem ku wielkiemu memu zdziwieniu kupowała „Słowo”. Pytam się, co znaczy ta zmiana.—Niech pan sobie wyobrazi, że codziennie wydaję złotówkę, bo kupuję aż pięć numerów. Głosuję. Nie mogę przecie dopuścić, żeby ten X został najlepszym malarzem.

Pożegnałem miłą znajomą. Pilno mi było do mego kochanego warsztatu, tembardziej kochanego, że jest on tak srodoż poniewierany w ostatnich czasach. Pozazdrościłem lekko wydawcy „Słowa” dobrego interesu z tym konkursem, lecz cieszyłem się jednocześnie ze świadomości, że przecie w tych ciężkich czasach ogólnego przynębnienia i apatii są ludzie sprytni i rzutcy w interesach.

Dr. Br. Puchowski.

Wystawa Szyka

Rzadko która wystawa cieszy się u nas takim powodzeniem, jak prace Artura Szyka. Wystawa ta objechała już wiele miast i wszędzie spotkała się z nadzwyczajnym uznaniem. Gdy się ogląda czy to „Statut Kaliski”, historię Waszyngtona, czy inne cykle, przedewszystkiem zdumiewa benedyktyńska praca artysty. Poszczególne strony wypełnione są piśmem przeplatane bogato inicjałami, o niesłychanie drobnym rysunku, obrazkami ze scen rodzajowych i innymi ozdobami. Wystawione prace Szyka tworzą kilka cykli, z których każdy składa się z szeregu obrazów. Są to: „Statut Kaliski”, Historia Waszyngtona, „Pakt Ligi Narodów”, Epopeja Bolívara, Pieśń o Rolandzie i ilustracje do powieści Lewisa „The last days of Shylock”.

Najlepszy jest „Statut Kaliski”; napisanie go Szyk rozwiązał w ten sposób, że w tekst włączył cały szereg obrazów, ilustrujących dzieje z życia Żydów w Polsce, od czasów najdawniejszych aż do współczesnych.

Poza wartością artystyczną statut posiada ogromne znaczenie propagandowe; świadczy on, że w Polsce nie było ucisku Żydów, że handel i przemysł żydowski, będąc pod osłoną prawa, rozwijał się zupełnie swobodnie. Na początku widzimy kartę z dedykacją traktatu: „Ad maiorem Poloniae gloriam, fait à Paris, en 1927, par Arthur Szyk, enlumineur...”. Dalsze i następne strony są wypełnione rysunkami z misternie wplecionym tekstem. W obrazkach, ilustrujących życie Żydów polskich rysunek jest naturalistyczny, nadzwyczajnie wyraźny, nie mający w sobie żadnych niedomówień, żadnych niepewności. Koloryt czysty, jasny, stosowany bardzo śmiało i pewnie. Kompozycja jest spokojna, poszczególne postaci, występujące w obrazach są z sobą dobrze powiązane.

Tekst i ilustracje na wszystkich kartach łączą się z sobą przy pomocy ornamentu o motywach geometrycznych, przeplatanych herbami lub motywami roślinnymi.

Ornamentyka jest niesłychanie bogata, może przeledowana, nie umniejsza to bynajmniej wartości dzieła—przeciwnie, bogactwo szczegółów wytwarza specjalny nastrój i charakter, w którym się można dopatrywać pewnych cech rasowych. Artur Szyk jest polskim Żydem, który się początkowo kształcił w Kraju, a następnie we Francji, łączy więc Szyk w sobie tradycję wschodu z kulturą polską i zachodnią. Mimo stopienia tyłu pierwiastków, prace Szyka posiadają swój wybitny charakter narodowy, cechę, która się łączy z wielkim artystem i wybitną indywidualnością. Mimowoli nasuwa się analogia z Bartłomiejczykiem i Stryeńską. Podobnie i tu i tam mamy nadzwyczajne bogactwo dekoracyjne, rozmach; i tu i tam z dzieł można poznać narodowość artysty: u Stryeńskiej pierwiastki słowiańskie, u Szyka — semickie.

Tekst statutu wykonany jest piśmem gotyckim, streszczenie — łacińskim. W technice pisania Szyk ma niesłychaną wprawę; litery gotyckie rysowane są nadzwyczajnie pewnie, skutkiem czego zatraciły już prawie swój charakter pisma odręcznego. Litera stała się sucha, pozbawiona życia, świeżości, które dają niedostrzegalne niedociągnięcia i uchybienia ręki przy pisaniu czy rysowaniu, niekiedy zresztą, przy pewnej wprawie zupełnie celowe. Zachodzi tu taka różnica jak pomiędzy kreską wykonaną ołówkiem odręcznie i zapomocą grafjonu i linij. Pierwsza posiada swój wyraz, życie, jest ciekawa, ma swą indywidualność, druga, pozbawiona tych wszystkich cech jest martwa i nudna.

Pismo łacińskie natomiast Szyk niezupełnie opanował, wiele tutaj niedociągnięć, co się zwłaszcza rzuca w oczy w końcowych kartach statutu, gdzie artysta podał treść w językach: polskim, hebrajskim, żydowskim, angielskim, niemieckim, włoskim i hiszpańskim.

Zespolenie tekstu i ilustracji najlepsze jest w Statucie Kaliskim; znacznie gorzej natomiast wypadło w cyklu „Pakt Ligi Narodów”, gdzie w wielu miejscach poszczególne części ornamentu nie wiążą się z sobą. Są to drobne szczegóły, które rzucają się w oczy dopiero przy głębszej analizie.

Całość wystawy sprawia wrażenie zupełnie wyjątkowe i ze wszech miar godna jest widzenia.

J. Kr.

Gobeliny

Wilno zostało poruszone niedoszlą na szczęście do skutku gobelinową transakcją handlową Kurji Arcybiskupiej z Watykanem. Wilno gorąco i jednomyślnie zaprotestowało. Nie chcemy wchodzić w podane przez niektóre pisma drastycznie szczegółół transakcji (kapelusze kardynalski i t. p.) oraz obciążające okoliczności (kupno nowej kamienicy, odbudowa pałacu przy ul. Magdaleny). Musimy stwierdzić, że ks. Arcybiskup wileński jest w chwili obecnej postacią najbardziej niepopularną w Wilnie. Czyny to z przykrością, bo w mieście naszym świeża jest pamięć takich jasnych postaci z pośród naszego duchowieństwa, jak św. pamięci biskupa Wł. Bandurskiego lub św. pamięci biskupa Matulewicza. Ciekawe jest, że dwaj zmarli biskupi — jeden legionista — drugi litwin zdobyli sobie szacunek nawet u swych antagonistów politycznych. Uważamy, że w autorytet Kościoła zyskał dzięki tym postaciom bardzo wiele. Zyskał tak wiele, że nie potrafią go zmniejszyć, liczne polityczne lub handlowe posunięcia obecnej Kurji. Może przeto nasza pseudokatolicka — endecka prasa nie rozdzierać sobie szat w związku z gobelinową akcją społeczeństwa. I gobelinów nie damy i autorytet Kościoła nie zmniejszy się.

Ostatni.

„Przeciw prądowi“.

Dnia 1 stycznia r. b. ukazała się w Wilnie jednodniówka litewska „Prieš Tekmę“ (Pod prąd), wydana jak wynika z oświadczenia redakcji przez grupę wileńskich inteligentów litewskich. Ukazanie się tej jednodniówki, wywołało dość silny oddźwięk tak w litewskiej prasie tutejszej jak również i kowieńskiej.

Komitet redakcyjny „Prieš Tekmę“ w słowie wstępnym zaznacza: „Decydujemy się płynąć pod prąd dolarowego patriotyzmu, najohydniejszej korupcji, moralnej zgnilizny, sprzedajności, interesowności, intryg, gwałtu i podobnych objawów, które Tymczasowy Komitet Litewski w Wilnie z p. Staszyssem na czele, wprowadził do ruchu litewskiego w tym kraju i ochrzcił mianem „patriotyzmu“!

„W wyniku takiej polityki „wodzów“ ruchu litewskiego jest spekulacyjne wzbogacanie się sfer kierujących kosztem coraz bardziej chylącej się ku upadkowi akcji litewskiej“.

„Polityka ta jest świadomie przykrywana frazeologią narodową z tegoż samego źródła opłaconej prasy: z jednej strony oficjalnego organu Tymczasowego K-tu „Vilniaus Rytėjus“, z drugiej strony przykrywającego się parawanikiem postępu „Vilniaus Žodis“.

„Naprawdę w wymienionych pismach szukalibyśmy odzwierciedlenia tragicznej codzienności życia litewskiego w tym kraju. Ich obowiązek jest inny: — czuwać na dobrze opłaconej straży brudnych interesów swego szefa“.

„...Wiemy, że ci którym mamy odwagę zerwać maskę obłudy, będą mieszały nas z błotem. Nie zdziwimy się, gdyż upewni to nas w przekonaniu, że trafiliśmy w najbardziej czule miejsce: kieszenie wypchane dolarami. Niech złorzeczą. Prawdy, która jest po naszej stronie, nie uda się nie przekrzyknąć. Pokaże ona litwinom całego świata, iż Tymczasowy K-tet prowadzi ruch w tym kraju do bankructwa i czyni żeń kopalnię złota dla siebie i swych pacholków“.

Ciekawi jesteście jak odpowie Tymczasowy Komitet.

Ostatni.

Kwiatki św. BiuroKracego.

„Wystrzegać się niefachowych monterów!“ — woła zarząd Elektrowni.

W mieszkaniu obywatela zepsuła się elektryczność: pękł sznur od lampy z blokiem. Obywatel telefonuje do elektrowni, prosząc o przybycie montera i komunikując, jakie zaszło uszkodzenie i jakich materiałów potrzeba do naprawy. Elektrownia przyrzeka montera przysłać. Po dwu dniach zjawia się pan w czapce monterskiej i obejrawszy uszkodzony sznur, każe podpisać papierek, że zgłosił się na wezwanie, poczem wyrokuje: „to, co poza licznikiem, to do elektrowni nie należy“. Zabrał się i poszedł. Rezultat: 2 zł. w rachunku „za wezwanie montera“. A naprawiać musiał monter prywatny. Z. E.

Towarzysko-sportowy Klub prawników

Jeszcze jedna papierowa organizacja pomyśli każdy, która po zebraniu organizacyjnym skazana jest na sen letargiczny. Otóż tak nie jest. Jeszcze nie upłynął miesiąc, a Klub posiada własny lokal — mnóstwo członków i sympatyków, zorganizowano lekcje gimnastyki, uruchomiono sekcję ping-pongową, urządzono b. miły Koncert. W projekcie odczyty, wycieczki, narty, tenis. Życzymy pomyślnego rozwoju pierwszej w Polsce tego rodzaju organizacji prawniczej, która wykazała dużo energii i żywotności.



Zaniedbany sport.

„Można powiedzieć, że łyżwiarstwo rozwija lepiej poczuć i zmysł równowagi, niż szermierka, bieganie bardziej wzmacnia płuca, serce i nogi, skoki dają większą elastyczność, gra w bilard wyrabia większą precyzję rąk, tenis wpływa bardziej na piękność, estetyczność ruchów, a szachy w najwyższym stopniu podniecają do myślenia — lecz proszę wymienić jakiś sport, któreby wymienione właściwości psychiczne i fizyczne w ich całokształcie tak dalece rozwijał, jak szermierka“. Słowa te padły z ust znanego szermierza Beli Szombathely'ego.

Piękny ten sport stanowczo nie ma powodzenia u wileńskiej młodzieży akademickiej. Zarzuca się mu, że nic nie daje. W rozumieniu tych osób zaprawa szermiercza tylko wówczas miałaby rację bytu, gdyby można było chodzić po ulicach z karabelą i walić w łeb pierwszą napotkaną, a niesympatyczną osobę.

Jest to zupełne spaczenie celu szermierki. Celem tym nie jest walenie kogoś przez łeb, ale rozwijanie w sobie tych zalet, które wymienia Bela Szombathely.

Wadliwe ujęcie celu szermierki ujemnie wpływa na rozwój tego sportu. Ale takie ujęcie istnieje tylko w Wilnie. Inne ośrodki akademickie a przede wszystkim Poznań wykazały prawdziwe zrozumienie szermierki.

Ogarnia ona tam najszerze rzeszy akademików i osiąga wspaniałe wyniki. Dlaczego Wilno ma być pod tym względem upośledzone? Czy w kilkutyśięcznej masie akademików nie znajdzie się kilkanaście osób, któreby z hasłem „Szermierka dla sportu a nie dla pojedynku“ podążyło do A. Z. S. i zarządało jaknajszybszego uruchomienia treningów. Prawda, że zaprawa jest nudna i długa, ale ileż przyjemności jest w chwili przystąpienia do walki.

Ośrodek W. F. w Wilnie posiada jednego z najlepszych instruktorów szermierki — sierżanta Kruka. Pod jego właściwym kierownictwem odpowiedni materiał akademicki mógłby szybko zająć czołowe miejsce wśród młodzieży akademickiej całej Polski.

Niech żyje „szermierka dla sportu“.

Amator.

Medyczna szopka

Bardzo miłą atrakcją na „oplatku Kola Medyków” stanowią Szopki. Dzięki kochanym Dziadom zorganizowano ad hoc zespół artystyczny, napisano wcale dowcipny tekst i zrobiono z tektury bardzo udatne kukielki. Wszyscy doskonale się ubawili, a nikt nie czuł się urażonym. Teraz czekamy Szopki dla wszystkich. Głos oddają Słoniom!!!

Bal Włóczęgów

Dnia 25 lutego 1933 r. odbędzie się bal kosztu mowy Studentów Wydziału Sztuk Pięknych i Akademickiego Klubu „Włóczęgów”.

Miejsce spotkań: sala „Georges’a”.

Czas: godzina 22.

Stroje fantazyjne pożądane, ale bynajmniej niekonieczne.

Uwaga dla domyślnych:

Ceny kryzysowe.

Niewolnicy

Zdawałoby się, że niewolnictwo należy już naprawdę do zamierzchłej historii, że zostawiwszy brudne plamy w dziejach t. zw. ludzkości—zginęło na zawsze. A jednak tak dobrze nie jest. Bo oprócz stwierdzonego niewolnictwa u plantatorów i farmerów amerykańskich — istnieje niewolnictwo wszędzie, nawet u nas, nawet na terenie U. S. B.

— Bujda! Powie niejeden „poważny” akademik. Twierdzą, że istnieje „sui generis” niewolnictwo—niewolnictwo w organizacjach akademickich. Kwitnie ono we wszystkich prawie kółkach, kolach i stowarzyszeniach. Niewolnicy ci — to zarządy organizacji—z pełną hierarchją zaszczytnych tytułów. Te grupy niewolników, to mięso administracyjne, upatrzone na walnych zebraniach, musi pracować za całą organizację, która potem ich sądzi, piętnuje lub cum infamia wyrzuca, rozgrzesza czy też potępia.

Najczęściej jednak bywa, że wśród tych niewolników — kilku najwięcej orze—bo jakiś tytułowany niewolnik, t. zw. polsolicie prezes—lub wice - prezes pracować nie chce lub nie może.—W rezultacie ciężar organizacyjny i brzemień niezadowolenia członków spada na barki jednostek. Organizacja jeśli nie upada—to wegetuje, usycha. A członkowie — to krzykliwi handlarze niewolnikami. Oni płacą, czy nie płacą—jedną tylko znają melodię: „organizacja nic nie robił My płacimy i wymagamy”. Poza tem nikt palcem nie kiwnie, a przeciwnie przeszkadzają, gdyż jedni mają zasadę niepłacenia składek i traktowanie wszystkiego „per nogą” — a inni poprostu paskudzą własne gniazdko. Krótko—brak stałej współpracy wszystkich członków w b. wielu organizacjach i niezbędnej solidarności organizacyjnej.

Jednostki nie poradzą! W wypadku, gdy zarządy nie chodzą w niewolniczym jarzmie — organizacyjka pada — a członkowie się cieszą, że niema komu ściągać składek.

Trzeba pozbywać się jaknajradzykalniej tego przesądu, że pracują tylko zarządy i zawsze zarządy, a członkowie powinni płacić i krytykować. Wszystkich członków każdej organizacji powinna obchodzić żywo każda sprawa jej dotycząca. Należy zacierać przedział pomiędzy rządzącymi i rządzonymi przez wspólne prace i poczynania.

Każdy członek musi dać z siebie dla organizacji, więcej niż składkę. Jeśli na więcej ponadto nie zdobędzie się—niech lepiej prosi uprzejmie o skreślenie.

A wysokie Komisje Rewizyjne, mające być pańskim okiem, które konia tuczy—poprzedzają przeważnie na załatwieniu swoich formalności jeden lub parę razy do roku—a dalej „naplewają”. Otóż naszym zdaniem komisje rewizyjne powinny

być nie tyle strasznymi przedstawicielami formalności, co stałymi [na każde zawołanie doświadczonymi doradcami organizacji].

Naprawdę wielki czas tępić to niewolnictwo w naszych organizacjach akademickich.

Glodomor, jeden z niewolników.

Poszukujemy...

Czy nie zabłąkał się u kogoś zbędny 3-ci numer Almae Matris Vilnensis?

Prosilibyśmy tę osobę o odstąpienie nam tego numeru, celem uzupełnienia kompletu. Osoby chętne prosimy o zgłaszanie się do lokalu Ak. Kl. Wil. we wtorki od godz. 19-ej do 21-ej.

Zrzuć Kalosze—przypnij narty!

Sfery „górne” zapewniają nas, (o ile wogóle można wierzyć czynnikom miarodajnym), że w programie tegorocznej zimy, oprócz deszczu i błota, projektują się pono opady śnieżne. Wobec tego wszyscy akademicy płci obojga powinni zaprzestać szlifowania chodników—a tłumnie zastosować się do rad starego narciarza Graba.

Z okazji rozpoczęcia się sezonu narciarskiego nie zaszkodzi przypomnieć, iż najstarszym Klubem narciarskim w Wilnie jest Akademicki Związek Sportowy, który przed dziesięciu laty rozpoczął usilną propagandę tego najpiękniejszego sportu na terenie Wilna.

Dziś i z siwym włosem wstyd się przyznać, że się nie jeździ na nartach. Sport ten uprawiają już wszyscy. I słusznie. Jak orzeźwiająco duchowo i fizycznie wpływa spacer na nartach stwierdzi każdy po pierwszej już próbie. Tembardziej dziś, gdy sprzęt narciarski jest dostępny prawie dla każdego, powinno być w ładne zimowe niedziele na prześlicznych zboczach Szwajcarii wileńskiej tak ludno i gwarno, jak na Mickiewicza. Sekcja narciarska A. Z. S. wierna swej roli propagatorki narciarstwa i w tym roku poczyniła szereg przygotowań, ażeby udostępnić wszystkim akademikom zaznajomienie się z kunsztem narciarskim. W tym celu zorganizowane ich kursy dla początkujących pod kierownictwem dyplomowanych instruktorów. Dla nieposiadających nart, służy sekcja wypożyczalnia nart po cenach naprawdę niskich, bo zaczynając od 20 gr. za cały dzień.

Wszelkie informacje otrzymać można w schronisku narciarskim A. Z. S. Antokolska 12, (zaulek obok więzienia). A więc wszyscy idziemy do sekcji narciarskiej A. Z. S-u po radość i zdrowie!

J. Grabowiecki.

Wigilia w Mensie.

W dniu 25.XII 1932 r. Bratnia Pomoc urządziła Wigilię. Początek — jak zwykle — z opóźnieniem półgodziennym. Na sali zimno. Uczestnicy z rękami w kieszeniach patrzą przedewszystkiem na stoły i rozmawiają półsłówkami.

Nareszcie pociągnięto za sznurek i przy pierwszym stole podnosi się Kol. Prezes. Przemawia!

Uczestnicy milczą.

Mówi o powadze chwili, pragnie aby był weselszy nastrój. Uczestnicy milczą — miny grobowe.

Nareszcie skończył! Ten i ów odechnął z ulgą. Padają słowa: „Nareszcie dadzą coś zeżreć”.

Istotnie podają piwo koloru słabej herbaty i ryby. Horyzont zaczyna się rozjaśniać. Można wytrzymać! Łamią się oplatki ci, którzy mają na to apetyt, inni piją piwo.

Kolacja postępuje szybko! Nikt się nie bawi, każdy tylko je.

Kolendy śpiewa pierwszy stół — reszta je!

Zagaszone światła. Zarzą się świeczki na choince, a w półmroku znikają ludzie — cienie — wyciszają się, aby szukać gdzieindziej szczerze wesołego nastroju. Ob...

Warunki prenumeraty: za 12 numerów — 5 zł. Konto P. K. O. Nr. 143.427, Teodora Nagurskiego.

Cena ogłoszeń: 1/1 strony—50 zł., 1/2 strony—30 zł., 1/4 strony—20 zł., 1/8 strony—15 zł., z zastrzeżeniem miejsca o 25 proc. drożej.

Wydawca: Klub Włóczęgów Senjorów.

Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Hermanowicz.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Przejazd 12.

Tow. Wyd. „POGOŃ”. Druk. „PAX” — Wilno, ul. Św. Ignacego Nr. 5. Tel. 8—93.

Antykwariat

Naukowy

im. J. K. Żupańskiego

W. Dominikowski & J. Rybarczyk

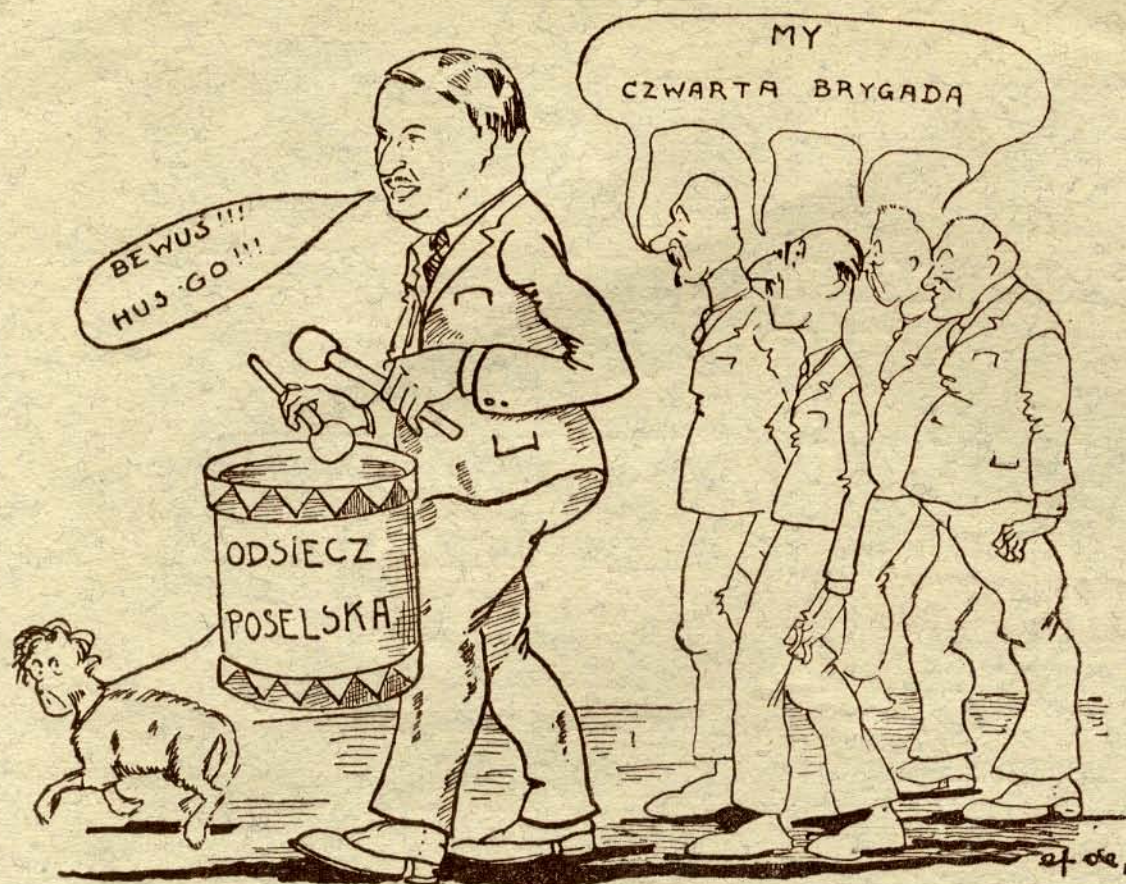
POZNAN

ul. Paderewskiego 3/5

tel. /0-61/ 852-63-12

ul. Górna Wilda 75

835-31-49



Współczesny

zajazd na Litwie:

Hajże na

Włóczęgi!

Lament Włóczęgi.

Źle jest na świecie. Kryzys, nędza — a tu mróz i inne przeciwności natury. A tak by się chciało znaleźć jakieś miejsce przytulne i ciepłe. Biedny Włóczęgo, próżno marzysz, próżno trudzisz się w pocie czoła w pogoni za wysnioną marą młodzieńczych ideałów — karierą. Bo i cóż ci Włóczęgo z tej solidnej pracy, którą wyznaczasz ścieżki swego życia. Bardzo, bardzo niewiele. Nie tędy droga ostrzega cię przyjacielsko, autorytet w sprawach karierowych niepowседневnej miary — Odsiecz Wileńska. Ukórz się Włóczęgo, uchyl w głębokim szcunku głowy i słuchaj.

Oto drobny wzrostem i znaczeniem reporter dziennikarski, z trudem wygrzebujący jakieś informacyjki na giełdzie reporterskiej, by je zamienić na kilka groszy wierszowego, w niedługim czasie zostaje naczelnym redaktorem jedyne „stuprocentowego” organu sanacyjnego w Wilnie, który zaimponował nawet „Gazecie Warszawskiej”.

Inny czołowy przedstawiciel tej przemożnej grupy, poseł

na Sejm, sekretarz grupy Regionalnej B.B.W.R., Prezes wielu „wpływowch” organizacyj — z jakąż iście „amerykańską” szybkością doszedł do potęgi, sławy i zaszczytów. Osiemnastoletnie pacholę, ze świadectwem ukończenia czterech (4) klas w kieszeni, wyrusza z dalekiej ziemi rodzinnej za chlebem na odległe „Kresy” do Ziemi Obiecanej wszelkiego rodzaju poszukiwaczy przygód i kariery. W zawodzie nauczycielskim do którego się zabiera początkowo nie bardzo mu się powodzi. Kilkakroć musi stawać do egzaminu, by przynajmniej uzupełnić kwalifikacje na nauczyciela szkoły powszechnej. Nie przeszkadza mu to jednak w osiągnięciu i piastowaniu prezesury Związku Naucz. P. i w dalszej karierze politycznej, która go wynosi na szczyt sławy i potęgi.

Wobec takich widomych dowodów królowania w sztuce robienia karier życiowych, Włóczęgo w pokorze uderz czołem. Zwróć się z gorącą prośbą, pouczcie Mistrzowie. A może niewarto, bo czy ty Włóczęgo wogóle zechcesz skorzystać z cennych wskazówek, jak się dziś robi karierę.

SŁOWO

**NAJWIĘKSZY NA ZIEMIACH WSCHODNICH
DZIENNIK POLITYCZNY i INFORMACYJNY**

WYCHODZI 7 RAZY TYGODNIOWO

DODATKI BEZPŁATNE:

ŁOWIECKI – ORGAN T-WA ŁOWIECKIEGO
ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH

„SŁÓWKO” – DWUTYGODNIK DLA DZIECI

„FAŁA 565” – PISMO RADJOAMATORÓW

WYDANIA PROWINCJONALNE:

„KURJER NOWOGRÓDZKI”

„WIECZORNY KURJER GRODZIENSKI”

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

WILNO – ZAMKOWA 2.

TELEFONY: 2-28, 2-62, 17-82.